

Znajdź swoją, pamiątkę rodzinną,  
i opisz jej historię

Prace Laureatów konkursu

*Archiwum Państwowe w Szczecinie  
Kuratorium Oświaty w Szczecinie*

*Znajdź swoją pamiątkę rodzinną  
i opisz jej historię*

*Prace Laureatów konkursu*

*Szczecin 2020*

Redakcja: Iga Bańkowska, Janina Kosman  
Korekta: Joanna Glatz, Janina Kosman  
Skład, łamanie, projekt okładki: Iga Bańkowska

Na okładce wykorzystano fragment fotografii ilustrujący tekst Dominiki Puzio  
pt. „Smaki przeszłości, czyli o zeszycie mojej praprababci”



Copyright by Archiwum Państwowe w Szczecinie © 2020

Copyright by Kuratorium Oświaty w Szczecinie © 2020

ISBN 978-83-66028-06-7 (Archiwum Państwowe w Szczecinie)

Wydanie I

Nakład: 500 szt.

## *Spis treści*

Od Wydawców .....	7
Laureaci konkursu .....	11
Prace Laureatów konkursu .....	13
Marta Filipczak .....	15
Jakub Mysiurski .....	20
Antoni Ostrowski.....	27
Wiktoria Błaż .....	29
Karolina Świgoń.....	32
Aleksandra Woźniak .....	34
Marta Błaż.....	39
Kaja Żebielowicz .....	42
Dominika Puzio.....	47
Mateusz Kołodziejczyk .....	51
Franciszek Bereśniewicz .....	54
Oskar Haluszko .....	57
Szymon Tylman .....	61
Miłosz Pieśkiewicz .....	66
Kamil Gajewski .....	71
Jakub Baszkowski.....	73
Aleksandra Szewczuk.....	77
Gala rozdania nagród .....	87

## *Od Wydawców*

Piastując stanowisko Zachodniopomorskiego Kuratora Oświaty, zwracam szczególną uwagę na popularyzowanie wśród dzieci i młodzieży zachodniopomorskich szkół i placówek wiedzy kulturowej, historycznej, archiwalnej i regionalnej. Dlatego, działając na rzecz edukacji historycznej, a także wychowania ku wartościom, w październiku 2019 roku podpisałam porozumienie o współpracy z Archiwum Państwowym w Szczecinie. Od początku byłam przekonana, że przedsięwzięcia organizowane wspólnie z Dyrektorem Krzysztofem Kowalczykiem umożliwią uczniom lepsze zrozumienie doniosłych i przełomowych wydarzeń w dziejach regionu zachodniopomorskiego i dziejach Polski.

Jednym z takich przedsięwzięć był konkurs „Znajdź swoją pamiątkę rodzinną i opisz jej historię”. Idea edukacyjna tego wydarzenia pozwoliła uczniom z naszego regionu poznać historie ich rodzin, a tym samym zainteresować dzieci i młodzież tematyką poszukiwań genealogicznych. Dzięki konkursowi uczniowie mogli także doskonalić swój warsztat piśmienniczy.

Jestem zbudowana tym, że w przeciągu trzech miesięcy, od początku września do końca listopada 2019 roku, do Kuratorium Oświaty wpłynęło ponad trzysta osiemdziesiąt prac. To przerosło moje najśmielsze oczekiwania. Zasiadając w Komisji Konkursowej, mogłam przeczytać wiele interesujących, niezwykle i często zaskakujących historii rodzinnych. Miałam okazję „poznać” losy niezwykle ludzi, dzięki którym dzisiaj żyjemy w wolnej Polsce. Zobaczyłam wiele niesamowitych przedmiotów, które, przekazywane z pokolenia na pokolenie, stały się symbolem przetrwania i zachowania pamięci.

Sukces naszego przedsięwzięcia skłonił mnie i Dyrektora Kowalczyka do kontynuacji konkursu. Chcemy dalej poznawać niezwykle historie rodzinne, a także popularyzować wiedzę historyczną i archiwalną. Wyróżniliśmy wielu uczniów. Trudno nam było wybrać tę najlepszą pracę. Dlatego, wydając tę publikację, możemy dodatkowo nagrodzić naszych laureatów. Dzięki broszurze możemy także podzielić się z Wami niesamowitymi historiami rodzinnymi, które wywarły na nas ogromne wrażenie.

Na koniec chciałabym podziękować Panu Dyrektorowi za dotychczasową współpracę i liczę, że przeprowadzimy jeszcze wiele innych wartościowych edukacyjnych przedsięwzięć. Dziękuję również wszystkim uczestnikom naszego konkursu za ogromne zaangażowanie, a nauczycielom i rodzicom za pomoc udzieloną swoim podopiecznym. Chciałabym także zachęcić wszystkich zainteresowanych uczniów do kolejnej edycji konkursu „Znajdź swoją pamiątkę rodzinną i opisz jej historię”.

**Magdalena Zarębska-Kulesza**  
Zachodniopomorski Kurator Oświaty

„Przeszłość nie wraca jako żywe zjawisko.  
W dawnej postaci – jednak nie umiera.  
Odmienia tylko miejsce, czas, nazwisko,  
I świeże kształty dla siebie przybiera”.

Adam Asnyk

### **Drodzy rodzice, nauczyciele i uczniowie!**

Materiały zgromadzone w archiwach rodzinnych są odzwierciedleniem życia jednostki, rodu, niekiedy społeczności lokalnej. Na akta znajdujące się w archiwach rodzinnych składają się dokumenty urzędowe, pamiętniki, wspomnienia, dzienniki, korespondencja, książki, mapy, ryciny, fotografie, a w szerokim rozumieniu wszelkie inne artefakty (przedmioty codziennego użytku, biżuteria, etc.); ilustrujące różne etapy życia, kontakty towarzyskie, pasje, zainteresowania, działalność zawodową i społeczną. Wszystkie one mają dla nas wartość sentymentalną, nie powinny być niszczone, wyrzucane. Pozbywając się ich rezygnujemy z części siebie, niejako okaleczamy, dekompletujemy rodzinną historię. Właściwie przechowywane i zabezpieczone spuścizny osób prywatnych są niezmiernie cennym źródłem wiedzy do dziejów określonej rodziny, a jej losy są niekiedy przyczynkiem do poznania historii społeczności lokalnej i narodu. Archiwa rodzinne, zakorzenione w przeszłości kształtują tożsamość rodziny. Dzięki nim możemy utworzyć drzewo genealogiczne; poznać przeszłość własnych pradziadków, dziadków, ich pochodzenie, złożone losy. Pielęgnując i poznając rodzinną historię uzyskujemy odpowiedzi na fundamentalne pytania: kim jesteśmy?, jaki jest cel i sens naszej egzystencji? Kształtujemy tym samym własną zintegrowaną tożsamość w wymiarze jednostkowym i życia rodzinnego.

Pielęgnowanie rodzinnej przeszłości, zawartej w domowych archiwach ma szczególne znaczenie na Pomorzu Zachodnim, czyli regionie włączonym do Polski w 1945 r. Na obszar III Okręgu Pomorze Zachodnie (1945), następnie województwa szczecińskiego (1945–1950), z którego w 1950 r. wyodrębniono województwo koszalińskie, napływali polscy przesiedleńcy z Wielkopolski, województw: pomorskiego, centralnych i południowych; wysiedleńcy z Kresów Wschodnich, reemigranci z Europy Zachodniej, a także Żydzi, Ukraińcy, Grecy, Macedończycy. Każdy z przybywających tworzył niejako od nowa własną tożsamość, historię, tradycję. Jej poznawanie jest niezmiernie interesujące. Nie bez powodu Archiwum Państwowe w Szczecinie i Kuratorium Oświaty w Szczecinie

wystąpiły w 2019 r. z inicjatywą zorganizowania konkursu pt. „Znajdź swoją pamiątkę rodzinną i opisz jej historię”, adresowanego do uczniów szkół podstawowych regionu. Celem konkursu jest popularyzowanie wiedzy historycznej, poznanie rodzinnej historii. Ponieważ pierwsza edycja spotkała się z ogromnym zainteresowaniem (wpłynęło 380 prac), postanowiliśmy kontynuować konkurs, nadając mu cykliczny charakter. Zachęcam uczniów, nauczycieli, rodziców do zgłębiania tajemnic rodowych archiwów. Każdy dokument, przedmiot znajdujący się w rodzinnej kolekcji ma swoją historię i osobne znaczenie. Rozmawiając na temat ich pochodzenia z rodzicami dziadkami i opisując je w pracy konkursowej, najmłodsze pokolenie poznaje swoją rodzinną historię i kształtuje tożsamość.

**dr hab. Krzysztof Kowalczyk**  
Dyrektor Archiwum Państwowego w Szczecinie

*Laureaci konkursu*  
*Znajdź swoją pamiątkę rodzinną i opisz jej historię*

**I miejsce:**

**Marta Filipczak** – Szkoła Podstawowa nr 8 w Szczecinie

**Jakub Mysiurski** – Szkoła Podstawowa nr 6 w Szczecinie

**Antoni Ostrowski** – Publiczna Szkoła Podstawowa nr 2 w Polczynie-Zdroju

**II miejsce:**

**Wiktoria Błaż** – Szkoła Podstawowa w Trzcińsku-Zdroju

**Karolina Świgoń** – Szkoła Podstawowa nr 8 w Kołobrzegu

**Aleksandra Woźniak** – Szkoła Podstawowa nr 18 w Koszalinie

**III miejsce:**

**Marta Błaż** – Szkoła Podstawowa nr 1 w Świnoujściu

**Kaja Żebielowicz** – Katolicka Szkoła Podstawowa im. Świętej Rodziny  
w Szczecinie

**Dominika Puzio** – Szkoła Podstawowa nr 1 z Oddziałami Integracyjnymi  
w Kołobrzegu

**Wyróżnienia:**

**Mateusz Kołodziejczyk** – Zespół Szkół Publicznych w Karnicach

**Franciszek Bereśniewicz** – Szkoła Podstawowa nr 1 w Choszcznie

**Oskar Hałuszko** – Szkoła Podstawowa w Golczewie

**Szymon Tylman** – Szkoła Podstawowa nr 3 w Dębnie

**Miłosz Pieškiewicz** – Szkoła Podstawowa nr 1 w Choszcznie

**Kamil Gajewski** – Szkoła Podstawowa nr 1 w Świnoujściu

**Jakub Baszkowski** – Zespół Szkół Elektryczno-Elektronicznych  
w Szczecinie

**Aleksandra Szewczuk** – Publiczna Szkoła Podstawowa w Bezzreczu

*Prace Laureatów konkursu*

*Znajdź swoją pamiątkę rodzinną  
i opisz jej historię*

**Marta Filipczak**

Szkoła Podstawowa nr 8

im. Młodych Europejczyków w Szczecinie

### *Samotne sosny*

*Andrzej*

Czuł się szczęśliwy tylko wtedy, kiedy malował. Uwielbiał to uczucie delikatnego mrowienia w palcach, gdy dotykał pędzla, mieszał farby, ustawiał paletę. Początkowy niepokój zmieniał się w delikatne kołysanie, a potem świat zamierał, czas się zatrzymywał, był sam w bezkresie...

Ciągle pytano go, czemu maluje głównie naturę. Portrety były przecież bardziej dochodowe, ważne chwile z życia Ojczyzny może zapewniłyby mu miejsce w muzeach i rozgłos, a scenki rodzajowe ukazałyby się w podręcznikach historii. Ale jak mawiała ciotka, on tylko po krzakach latał i jak dziad na polu przesiadywał. Wstyd dla tak porządnej rodziny!

Dziś także rozstawił sztalugę na polu. Już dawno uznał, że jeśli komuś coś trzeba tłumaczyć, to nie jest on gotów na jego malarstwo. Bo tylko ktoś, kto widział, a nie tylko patrzył, dostrzegał to, co chciał przekazać poprzez swoje obrazy. To piękno i siła, które wynikały z prostoty.

Do namalowania sosen przymierzał się od dawna. Wiele wieczorów przed snem spędził na rozmyślaniu, jak to zrobić. Czy mają być w centrum, czy z boku? Rozświetlone wiosennym słońcem, czy otulone jesiennymi mgłami...? Nie spieszył się. Czekał. Widział je codziennie i wiedział, że kiedyś dadzą mu znak...

Palce skostniały mu z zimna, ale tego nie czuł. Widział tylko je, ale starał się, aby nie przytłoczyły obrazu. Trzymały się dzielnie razem, gdy wokół cały świat skuwał mróz. Zielone, gdy cały świat pochłaniała szarość. Dumne i wyprostowane, choć wszystko karłało. Stado wron, które zjadały resztki tuż przed nimi, potęgowało grozę... Nie chciał jednak nikogo straszyć. Nadzieję ukrył w śniegu...

*Agnieszka*

Spieszyła się, żeby zdążyć przed godziną policyjną. Wiedziała, że okłamuje samą siebie, bo już dawno minęła pora, kiedy powinna być w domu. Wydawało jej się, że dobrze umyła ręce, ale dopiero teraz zauważyła, że nadal są na nich kropelki krwi. Szybko zakryła je płaszczem. Musi być bardziej ostrożna, naraża nie tylko siebie. W końcu ja jestem tu najmniej



ważna, pomyślała, ale przez swoją głupotę mogę wydać wyrok na tyle osób! Zadrżała. Niemcy nie mają litości dla zdrajców, a za błąd jednej osoby płaci cała rodzina. Ściany mają oczy i uszy...

Przyspieszyła, zaraz zrobi się zupełnie ciemno. Jej kroki obijały się echem po pustej o tej porze uliczce. Jeszcze tylko chwilka, jeszcze tylko minie piekarnię i będzie w domu... Nagle zamarła... Zza rogu wyłonił się patrol...

To był impuls. Nie myślała, jej ciało zareagowało instynktownie i samo podjęło decyzję. Jednym susem znalazła się na klatce najbliższego domu i zapukała do pierwszych z brzegu drzwi. Cisza. Starła się nie oceniać, ludzie boją się, nie chcą narażać się dla obcych. Kolejne drzwi i kolejne... Oblał ją zimny pot. Była pewna, że słyszy kroki. Boże, są już tak niedaleko...

Była tak przerażona, że początkowo nie wierzyła, że drzwi po lewej otworzyły się z cichym skrzypnięciem i ktoś ponagląco zawołał ją po imieniu. Stała, jak sparaliżowana, nie wierząc w to, co widzi.

– No szybko, bo obie marnie skończymy!

Po chwili siedziała w przytulnym salonie swojej nauczycielki.

– Nigdy bym nie pomyślała, że akurat z Ciebie, Agusiu, będę najbardziej dumna – powiedziała Pani Helena, gdy już postawiła przed nią herbatę – zawsze myślałam, że uśmiercisz swojego pierwszego pacjenta. Nie wiem, czy ktoś gorzej wkłuwał się, robiąc zastrzyk, niż Ty! Na pierwszej lekcji zemdlłaś, gdy zacięłaś się papierem i zobaczyłaś krew. Chciałam nawet porozmawiać z Twoją matką, aby namówiła Cię na zmianę zawodu. Widziałam Cię w pasmanterii, a nie w szpitalu. A teraz proszę, włóczyz się po lasach i opatrujesz rannych partyzantów.

– To Pani wie?! – tylko tyle potrafiła wydusić z siebie.

– No, taka z Ciebie konspiratorka, jak sanitariuszka na pierwszym semestrze. Pół miasteczka wie. To cud, że dopiero teraz ktoś Cię wydał. Bo to nie przypadek, czekali na Ciebie.

– O Boże! Moi rodzice!

– Nie martw się, nic im nie będzie, nie widziałam samochodu, przyszli po jedną osobę... No dosyć tego gadania, kładź się spać. Jutro powiesz, że zasiedziałaś się u koleżanki. I na jakiś czas zapomnij o wycieczkach do lasu.

Nie mogła zasnąć. Gdy tylko zaczęło świtać, po cichu wstała i postanowiła zrobić śniadanie. Choć tak się odwdzięczy za dobroć Pani Heleny. Zdumiona zastała ją w salonie.

– Pani w ogóle spała?

– No wiesz, pomyśl, jakby to wyglądało, gdyby aresztowali mnie w piżamie! Cały autorytet pedagoga ległby w gruzach! Oj, żartuję, siadaj, z wiekiem nie potrzebuję już tyle snu.

Gdy podawała kanapki i herbatę, rozejrzałam się po salonie. W świetle dnia zobaczyłam, jak ubogo żyła moja nauczycielka.

– No cóż, gdy aresztowano męża, sprzedałam wszystko, co cenne. Do końca jego dni wierzyłam, że go uratuję. Nie umiałam pogodzić się z porażką, sama wiesz, że się nie poddaję! Nawet z Ciebie zrobiłam znośną sanitariuszkę. Widzę, że patrzysz na obraz. Nie oddałam go obcym, to jedyna pamiętka, jaka mi została po mężu. Kupił ten obraz w 1937, gdy byliśmy na wycieczce w Poznaniu. Byłam zła, bo wiedział, że mi się nie podoba. Jest taki złowieszczy, a ja byłam wtedy taka szczęśliwa! Denerwował mnie. Mój mąż go za to uwielbiał! No i proszę, sprzedałam obrączkę, ale nie potrafiłam oddać obcym tego bohomazu. Co tam mruczysz pod nosem?

– A tak, coś mi przyszło do głowy, nic ważnego.

– Widzę, że i z kulturą u Ciebie nie najlepiej.

– Przyszło mi do głowy, że nadzieja....

– ...ukryta jest w śniegu.

### *Marysia*

Obraz babci zawsze mnie ciekawił. Głównie dlatego, że nie wolno go było dotykać. Gdy byłam młodsza, wierzyłam, że rama jest ze złota, a namalował go ktoś bardzo znany. Godzinami wymyślałam, co bym kupiła, gdybym go sprzedała. Oczywiście głównie słodczyce i zabawki. Całe góry słodczy i zabawek! Gdy tylko nadarzyła się okazja, przyglądałam mu się i obmyślałam plan zdobycia go dla siebie. Wisiał za wysoko, ale wiedziałam, że to tylko kwestia czasu. Kiedyś urosnę, wezmę krzesło i zdejmę go z łatwością. Babci nie będzie go żal. Co prawda wisi w salonie na środku ściany, ale babcia ma łzy w oczach, gdy na niego patrzy. Pewnie ten blask złota ją oślepia! Starzy ludzie mają słabe oczy.

### *Marta*

Wszyscy w mojej rodzinie znają historię obrazu prababci Agnieszki. Co prawda nosi on tytuł „Samotne sosny” i namalował go malarz Andrzej Malinowski, ale dla nas zawsze będzie on obrazem Agusi. Babcia Marysia opowiadała mi, że w czasie wojny prababcia Agnieszka opatrywała partyzantów w lesie. Pomogła wielu osobom, ryzykowała życie,

ale nigdy nie uważała się za bohaterkę. Według niej robiła to, co nakazywała przyzwoitość. Niestety, ktoś doniósł na prababcię i groziło jej straszne niebezpieczeństwo. Jej i całej naszej rodzinie. Gdyby nie pomogła jej Pani Helena, która schroniła ją w swoim mieszkaniu, dziś nie byłoby mnie na świecie. Następnego dnia po tym, jak Pani Helena pomogła prababci, jej sąsiad zjawił się niespodzianie z obrazem w jej domu. Na odwrocie napisane było jedno słowo: Agusia. Opowiedział jej także, że Pani Helena rano zgłosiła się na posterunek i przyznała, że nocami opatrywała rannych partyzantów. Ta dzielna kobieta wiedziała, że choć mojej prababci udało się uciec, Niemcy nadal będą szukać sanitariuszki z lasu. Poświęciła się, aby jej uczennica mogła żyć...

Prababcia Agnieszka opowiadała, że zawsze starała się żyć tak, aby Pani Helena była z niej dumna. Choć nigdy się już nie spotkały, odważna kobieta była zawsze w jej sercu...

To nie jest obraz, który przyciąga wzrok; gdyby wisiał w muzeum,

być może minęlibyście go bez zatrzymywania się. Przedstawia fragment zimowego krajobrazu, ale nie jest to bajkowa zima. Niebo zasnuwane jest stalowoszarymi chmurami, które zwykle zwiastują śnieg. To szare, zimne tło przytłacza. Stado wron lub kruków, które szuka pożywienia w śniegu, potęguje tylko smutek całości. Tylko zielone, dumne sosny stojące na niewielkim wzniesieniu,

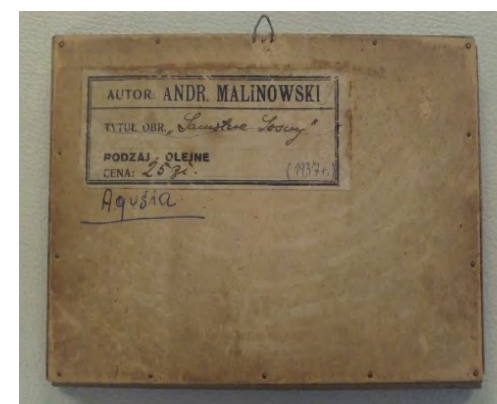
choć umiejscowione z boku obrazu, wydają się nie poddawać szarości i beznadzi. Gdy jednak wpatruję się w obraz dłużej, dostrzegam coś w śniegu. Błysk, który pojawia się nie wiadomo skąd, a który zmienia w obrazie wszystko!

Dla mnie sosny zawsze były rodziną. Jeszcze zanim urodził się mój brat, wyobrażałam sobie, że przedstawiają moją mamę, tatę i mnie w środku, którzy chronią mnie przed stadem ptaków. My jako drzewa, które trzymają się razem. Gdy powiedziałam o tym babci, nie śmiała się ze mnie. Powiedziała, że na tym właśnie polega sztuka, każdy może zobaczyć w niej coś innego, coś, co poruszy jego duszę.

Gdy pytałam o obraz babcię Marysię, u której zawisł w salonie po śmierci prababci, opowiedziała mi, jak planowała jego kradzież,



aby kupić za niego masę cukierków i zabawek. Myślała, że jego rama jest ze złota. Teraz zna jego prawdziwą wartość i uważa, że jest o wiele cenniejszy. Dba o niego dla mnie. Bo pewnego dnia ja zostanę jego strażniczką. Będę pielęgnować pamięć o dzielnych kobietach, które może nie strzelały z pistoletów, ale ratowały ludzkie życie.



**Jakub Mysiurski**

Szkola Podstawowa nr 6 w Szczecinie



Nigdy nie sądziłem, że życie moich przodków mogło być tak zawile i pełne niespodzianek. Myślałem, że... No właśnie, co myślałem? To pytanie zadaje sobie teraz dość często. W zasadzie wcześniej tak bardzo się nad tym nie zastanawiałem. Temat tej pracy sprawił, że zainteresowałem się historią mojej rodziny. Do tego czasu znałem historię rodzinną tylko do czasów mojego pradziadka, więc o pomoc w dalszym odkrywaniu przeszłości rodziny poprosiłem ciotkę Ulę. Podczas jej opowieści przy ciastkach i herbatce zacząłem zagłębiać się w tę, dotychczas mnie nieinteresującą, historię. Rozpytywałem wśród najstarszych członków rodziny i od każdego otrzymywałem garść informacji, a po kilku dniach „dokopałem się” do drugiej połowy XIX wieku obfitującej w bardzo interesujące wydarzenia rodzinne, w tle których „działa” się historia. Zacząłem więc wszystko spisywać...

Jesienny poranek 1875 roku był jak każdy inny. Praprapradziadek Peter Frost wstał rano, zjadł śniadanie i poszedł po gazetę. Kiedy szedł jasnymi ulicami miasta Glashütte w Saksonii, spostrzegł ogłoszenie o pracy. Wówczas był bezrobotny, bo firma, w której wcześniej pracował jako księgowy, splajtowała. Zatrzymał się na chwilę i przeczytał *die Anzeige*. Młody fabrykant, Richard Lange potrzebował księgowego w biurze swojej firmy, zajmującej się produkcją zegarków kieszonkowych. Petera zaintrygowało ogłoszenie i postanowił pójść na rozmowę kwalifikacyjną. Ubrał się elegancko i pojechał konnym tramwajem do centrum miasta. Miejscem, do którego miał się udać, okazał się ogromny, piękny pałac. Kiedy już wszedł do domu, znalazł się w holu pełnym przepychu. Na korytarzu zaczął go lokaj i spytał:

– Czy mogę w czymś pomóc?

– Szukam pana Richarda Lange, przyszedłem na rozmowę kwalifikacyjną na stanowisko księgowego w firmie „A. Lange & Söhne”  
– odpowiedział Peter.

– Zaprowadzę Pana. Zapraszam na górę do gabinetu pana Lange

– uprzejmym ruchem dłoni lokaj wskazał drogę i zaprowadził mego praprapradziadka. Wnętrze pałacu wyglądało jak w baroku, pełne złota i wielkich obrazów. Złote gałki widniały na poręczach schodów obłożonych czerwonym dywanem. Drzwi do gabinetu fabrykanta były ogromne i okazałe.

– To tutaj, zapraszam – powiedział lokaj, otwierając drzwi mojemu przodkowi.

– Dzień dobry – powiedział Peter.

– Dzień dobry, proszę usiąść – mówiący to Richard skinął głową na fotel – napije się Pan czegoś? Whiskey, a może koniak?

– Koniak poproszę – młody Lange sięgnął do barku po butelkę alkoholu i nalał do kieliszka Peterowi koniak, a potem sobie. Miał atlasowy frak oraz jedwabną koszulę. Od pasa w dół odziany był w czarne spodnie i oficerki ze skóry.

– Wie Pan... poszukuję księgowego, do tej pory zajmował się tym mój ojciec. Zupełnie nie znam się na księgowości, moją pasją są zegary, od kiedy ojca nie ma, potrzebuję współpracownika.

– Skończyłem studia ekonomiczne i mam dwuletnie doświadczenie w tej branży, dlatego myślę, że mógłbym Panu pomóc – powiedział Peter.

– No to świetnie, zostało tylko podpisać umowę i ustalić Pańskie wynagrodzenie – zakończyli rozmowę podpisaniem tego aktu i praprapradziadek poszedł do domu.

Nazajutrz wstał i udał się do pracy. W biurze czekała na niego masa papierów. Trochę się przeraził, ale w końcu wiedział, na co się pisał. Po kilku miesiącach wyteżonej pracy jego szef i już wtedy przyjaciel zaproponował:

– Miałbyś ochotę wraz z małżonką wybrać się z nami dzisiaj wieczorem na kolację do restauracji? – zagadał Richard.

– Oczywiście, Richardzie, chętnie poznam twoją żonę.

Cała czwórka bardzo miło spędziła wieczór, a pomiędzy Peterem i Richardem rozwijała się przyjaźń.

Po czterech latach dobrej współpracy i wspaniałej przyjaźni Peter wraz z żoną Anną Frost z powodów rodzinnych postanowił przenieść się do Londynu. Richard nie ukrywał smutku, tracił nie tylko najlepszego przyjaciela, ale również świetnego księgowego i współpracownika.

Żegnając się z Peterem, wręczył mu prezent, zegarek z własnej firmy. Najlepszą pamiątkę, jaką mógł mu wtedy dać.

– Żegnaj, przyjacielu – powiedział ze łzami w oczach Richard,

a potem obaj panowie przytulili się po męsku na pożegnanie.

Prawdopodobnie wiedzieli, że już nigdy się nie zobaczą, a jeden kochał drugiego jak własnego brata. Dla nich obu to była ciężka chwila.

– Żegnaj – odpowiedział Peter, odchodząc do domu.

Tak właśnie złoty zegarek kieszonkowy firmy „A. Lange & Söhne”

pojawił się w naszej rodzinie. Wtedy to był zwykły zegarek, dziś to wspaniała pamiątka rodzinna, która przetrwała kilka pokoleń.

Moja pamiątka nosi znaki czasu, nie leżała bowiem cały czas w szufladzie, nie wygląda jak nowa. Zanim trafiła w moje ręce, przeszła trudną i niesamowitą drogę, o której chciałbym Wam opowiedzieć.

Babcia opowiadała mi, że najprawdopodobniej w 1880 roku Peter i Anna Frostowie doczekali się potomka, a mojego prapradziadka. Nadali mu imię Jacob.

Był wybitnie zdolnym uczniem, dlatego też swoją edukację mógł kontynuować za granicą. Na szczęście dla Jacoba kilka lat wcześniej wznowiono (po tym jak po rewolucji francuskiej 1789–1799 przestał istnieć) działalność Uniwersytetu Paryskiego zwanego Sorboną. Marzył o studiach w Paryżu. Rodzice nie chcieli go puścić, ale prapradziadek długo ich namawiał, aż w końcu się zgodzili.

W 1899 roku Jacob wyjechał do Paryża by studiować na wydziale prawa. Na studiach poznał wielu nowych przyjaciół. Z opowieści wynika, że Jacob zaliczał się do grupy najwybitniejszych młodych prawników. Podobno były to najpiękniejsze lata jego życia. Jednak aplikację postanowił zrobić już w Londynie, a nie we Francji. Kiedy wrócił do rodzinnego miasta, okazało się, że jego ojciec zachorował.

Wtedy też Peter Frost przekazał synowi Jacobowi zegarek i opowiedział mu jego historię. Opowiedział mu również o swoim pochodzeniu oraz dlaczego wyjechał z Poznania do Glashütte.

Po śmierci ojca, około 1907 roku Jacob postanowił, że wróci do Poznania i odkryje swoje korzenie. Wraz z matką Anną Frost udał się do Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Kiedy przyjechali do wówczas niemieckiego Poznania, kanclerz Niemiec, Otto von Bismarck wprowadził w 1908 roku ustawę kagańcową, która zakazywała posługiwania się



językiem polskim na spotkaniach publicznych, jeśli Polacy stanowili mniej niż 60% mieszkańców powiatu. Niedoszły jeszcze prawnik był przeciwny antypolskim działaniom kanclerza i Hakacie, czyli nacjonalistycznej organizacji, która zrzeszała głównie urzędników, przedsiębiorców i nauczycieli niemieckich. Jej działalność polegała na wzmacnianiu niemieckich wpływów w Wielkopolsce oraz prowadzeniu antypolskiej polityki. Jacob zaangażował się mocno w obronę polskości, był członkiem Towarzystwa Młodych Przemysłowców w Poznaniu, krzewił tradycję i kulturę w sercach Polaków.

Pewnego letniego dnia będąc w słynnej Bibliotece Raczyńskich założonej już w 1829 roku, a istniejącej do dziś, poznał swoją przyszłą żonę. Barbara (z domu Kubicka) pochodziła ze szlacheckiego rodu. Miłość pomiędzy nimi kwitła. Po ślubie Jacob przeprowadził się do Kostrzyna Wielkopolskiego, gdzie ojciec Barbary miał piętrową kamienicę, którą wybudował dla swojej jedynej córki. Tam właśnie zamieszkali i wiedli sielankowe życie. W 1913 roku urodził im się syn Stanisław, a mój prapradziadek.

Rok później, podczas spokojnego poranka małżeństwo usłyszało pukanie do drzwi. Dwóch żołnierzy niemieckich wtargnęło do mieszkania i zaskoczyło ich, odczytując nakaz zgłoszenia się do najbliższej jednostki wojskowej z karty mobilizacyjnej do armii niemieckiej. Dla Jacoba było straszne, że musi walczyć po stronie Niemiec.

Ciocia mi opowiadała, że mój prapradziadek Jacob brał udział w jednej z najkoszmarniejszych bitew – pod Verdun we Francji w grudniu 1916 roku. Pisał o tym w listach do swojej ukochanej żony Barbary. Opisywał koszmar tych walk: umierających ludzi w okopach, błoto, brud i głód... Codzienne widoki na polach bitew I wojny światowej. Tylko korespondencja



z żoną dawała mu siłę przetrwania.

Na froncie spędził cztery lata, zanim wrócił do domu. Poglębila się jego nienawiść do Niemców, dlatego też z chęcią przyłączył się do Powstania Wielkopolskiego na przełomie lat 1918/1919. Rozejm w Trewirze 16 lutego 1919 roku zagwarantował Polakom realizację większości założeń, wynikających z odzyskania niepodległości. Wtedy też najprawdopodobniej Jacob dokonał spolszczenia nazwiska u siebie i syna na „Mróz”.

Na początku lat dwudziestych ubiegłego wieku otworzył w Poznaniu kancelarię prawniczą. Prowadził ją z sukcesem niemalże 20 lat. Mały Stanisław, a mój pradziadek, swoje dzieciństwo przeżył w dostatku, jego rodzina uchodziła za zamożną. Na swoje osiemnaste urodziny dostał w prezencie pamiątkę rodzinną – złoty zegarek. Ojciec opowiedział też całą historię, jaka się z tym przedmiotem wiązała.

Niestety, wszystko co dobre, szybko się kończy...

Nadszedł rok 1939 i wybuch kolejnej światowej wojny. Bardzo szybko doszło do pozbawienia całego majątku moich przodków przez Niemców.

Pradziadek Stanisław postanowił, że wstąpi w szeregi wojsk polskich i wyruszył z Poznania bronić Warszawy, kiedy jeszcze nie jest za późno... Z Warszawy z tzw. „łapanek” bardzo szybko trafił na roboty przymusowe do Rzeszy, do majątku ziemskiego w Chojnie. Było mu bardzo ciężko przystosować się do nowej sytuacji, aczkolwiek jego pracodawca okazał się porządnym, dobrym człowiekiem.

Niestety, niepokorny duch pradziadka szybko wpędził go w kolejne kłopoty. W Chojnie znajdowało się nowe lotnisko wybudowane przez Niemców na początku 1939 roku, bardzo dobrze wyposażone. Początkowo służyło Niemcom do celów szkoleniowych. Pod osłoną nocy Stasiak wraz z towarzyszami niedoli próbowali wykraść z niego samochód, by z powrotem znaleźć się na polu walki i bronić Ojczyzny.

Pomimo starań właściciela posiadłości, u którego pracowali w 1941 roku Stanisław, jako więzień polityczny, został przetransportowany pociągiem towarowym w wagonie dla bydła do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Na miejscu załoganci SS kazali wszystkim ustawić się w dwuszeregu i okradli ich z wartościowych przedmiotów. Na nieszczęście pradziadka miał on wtedy zegarek przy sobie.

Tu historia opisywanej pamiątki powinna się zakończyć, ale nie byłaby przecież moją pamiątką, gdyby nie dalszy splot wydarzeń. Podobno życiem rządzi przypadek, więc przeczytajcie dalej...

Nigdy więcej wojny i takich okropieństw. Pradziadek przeżył w tym czasie prawdziwy koszmar.

Z Sachsenhausen w 1943 roku jego brygada została poddana zarządowi obozu koncentracyjnego w Neuengamme i przetransportowana w nieludzkich warunkach na wyspę Alderney, na kanale La Manche. Pracowano tam ponad siły: w kamieniołomach, przy budowach dróg i tuneli. Następnie przenoszono pradziadka do obozów w Belgii w okolicy na północ od Poperinga oraz Dixmuides i Kortemark. Wszędzie okropne warunki i mordercza praca. Jeszcze 15 marca 1945 roku pradziadek figurował na liście więźniów I brygady budowlanej SS-Sollstedt obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen.

Po czteroletniej tułaczce po obozach mój pradziadek w maju 1945 roku wracał pociągiem do Polski. W pociągu był straszny tłok, wiwatujący żołnierze stawali się coraz śmielsi w przeklinaniu Niemców. Gdyby tylko jakiś Niemiec znalazł się w tym pociągu, to chyba by go „rozsarpali na strzępy”.

No właśnie... Znalazł się, na szczęście dla mojego pradziadka. W obdartym ubraniu, w kącie wagonu siedział Niemiec i mój pradziadek go rozpoznał. Wróg błagał i prosił, aby ten go nie wydał, a przekupić go chciał zawiniątkiem wyjętym z kieszeni, obleczonym brudną chustką. Co było w środku?

Pradziadek nie mógł uwierzyć własnym oczom. Na przestrzeni wydarzeń wojennych zdążył już pożegnać się ze swoją pamiątką rodzinną, a nawet o niej zapomnieć.

Ten dzień Stanisław zapamiętał na resztę swoich dni, zawsze o nim opowiadał i przekonywał: „w życiu wszystko jest możliwe”.

W 1949 roku Stanisław Mróz osiedlił się wraz ze swoją żoną Marią (z domu Kulpińska) w podszczecińskiej wiosce Łęgi. W niedługim czasie pojawiła się na świecie moja babcia Grażyna, a zaraz potem jej siostra – ciocia Ula.

W 1970 roku Grażyna (już wtedy Mysiurska) urodziła mojego tatę Roberta, który natychmiast stał się oczkiem w głowie dziadków. Całe dzieciństwo spędził z nimi na wsi. Całą młodość był ich podporą i dużym wyręczeniem w pracach na gospodarstwie.



Na osiemnaste urodziny taty pradziadek wręczył mu bardzo wartościowy prezent. Zegarek, który stał się niejako talizmanem, niesamowitym przedmiotem, który za wszelką cenę chce być w naszej rodzinie.

W 1995 roku, gdy mój tata planował ślub z moją mamą, znowu zrobiło się groźnie. Nie był to czas dostatku w mojej rodzinie, w związku z czym z łańcuszka od zegarka zrobiono obrączki dla moich rodziców. Pewnego dnia z nowego mieszkania rodziców skradziono cały dobytek, pozostałości łańcuszka od zegarka, obrączki i całą biżuterię. I znowu zegarek ocalał, bo akurat w tym czasie znajdował się w domu rodzinnym dziadków taty.

Teraz my tam mieszkamy, tzn. ja z rodzicami. To ja jestem dziś właścicielem zegarka, odkąd tata podarował mi go na I Komunię Świętą.

Bardzo się cieszę, że podjąłem się napisania tej pracy, bo pewnie nigdy nie poznałbym tak dokładnie historii naszej rodziny. Przy okazji bardzo zbliżyłem się z dalszą rodziną, a w szczególności z ciocią Ulą (a raczej praciocią), która pielęgnuje pamięć o naszych przodkach, jest dociekliwa (choć powiedziała, że ja bardziej) i wie na ten temat bardzo dużo. Dzisiaj wiem na pewno, że „w życiu wszystko jest możliwe”. Ta wiedza pozwala mi marzyć i wierzyć w spełnienie najbardziej nieprawdopodobnych scenariuszy.

Niesamowita historia tego czasomierza nie dobiegła jeszcze końca.

### Antoni Ostrowski

Publiczna Szkoła Podstawowa nr 2  
im. Mikołaja Kopernika w Polczynie-Zdroju

#### *Bilet w jedną stronę*

Naszą rodzinną pamiątką, którą chciałbym dzisiaj przedstawić jest bilet mojej prababci Anieli, który dostała w 1946 roku, żeby móc wrócić z Syberii do Polski.

Prababcia Aniela mieszkała we wschodniej części Polski w Brzozowicach. Po wybuchu II wojny światowej tereny te zostały zajęte przez Rosjan, a ludzie, którzy tam mieszkali i byli „niewygodni”, zostali zesłani w głąb ZSRR. Rodzina prababci była właścicielem sporego majątku ziemskiego. Rosjanie zesłali ją na Syberię do Krasnojarska w 1939 roku, łącznie 12 osób. Wyglądało to właściwie tak, że w środku nocy Rosjanie zapukali do drzwi i kazali im iść ze sobą. Nie mogli zabierać żadnych bagaży tylko to, co mieli przy sobie. Aniela miała wtedy 14 lat. Jechali w ciasnych, bydłowych wagonach około trzy miesiące. Jeżeli ktoś nie dożył końca podróży, to zwłoki wyrzucano z pociągu.

Na Syberii mieszkali w drewnianych barakach, w takich odstępach od siebie, że jak to powiedziała prababcia Aniela: „Można było patrzeć na sąsiada”. Dzieci wysyłano na roboty do tajgi wraz z rodzicami lub do kopalni złota. Pracowali w nieludzkich warunkach w temperaturze -40, a nawet -50 stopni mrozu. Podczas pracy w tajdze można było napotkać różne groźne zwierzęta, np.: wilki lub niedźwiedzie. Panował tam też okropny głód. Dorośli oddawali swój przydział chleba dzieciom. Niektóre dzieci podkrały się do śmietników, aby móc zjeść, chociaż nędzne obierki, a jeżeli Rosjanie to zobaczyli, to zaczęli do nich strzelać dla zabawy. Wszyscy byli tam wycieńczeni i głodni, często chorowali na tyfus i z tego powodu masowo umierali. Aniela też zachorowała, ale udało jej się przeżyć.

Po zesłaniu do Rosji wszyscy musieli przyjąć obywatelstwo rosyjskie. Cały pobyt na zesłaniu przeżyło tylko 6 osób z naszej rodziny. 6 lipca 1945 roku w Moskwie podpisano umowę, dzięki której zesłani do Rosji mogli wrócić do Polski. Ale wrócić mogły tylko osoby narodowości polskiej albo żydowskiej, a wszyscy wcześniej przymusowo otrzymali narodowość rosyjską i mieli tylko rosyjskie dokumenty, więc najpierw trzeba było potwierdzić polską narodowość, a to było bardzo skomplikowane. O tym czy ktoś jest Polakiem decydowali Rosjanie. A poza tym za każdy

bilet trzeba było dużo zapłacić. Nikt tam nie miał pieniędzy, ale brat prababci Anieli pracował w kopalni złota i miał trochę oszczędności, aby zapłacić za ich bilety.

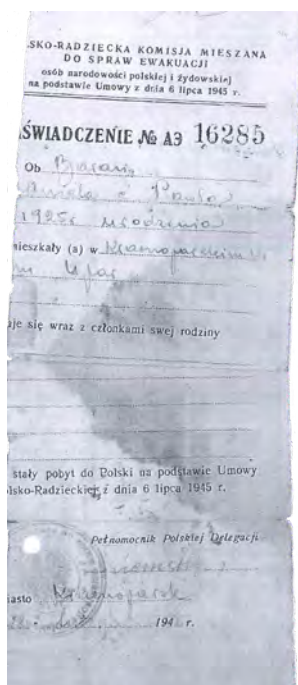
W końcu po wielu staraniach, prababci Anieli udało się odzyskać polskie obywatelstwo i w 1946 roku otrzymała „bilet w jedną stronę” – do Polski. Wreszcie po ponad sześciu latach mogła wrócić do ojczyzny. Jednak nigdy nie odzyskała swojego domu.

Podczas powrotu, gdy Aniela przekraczała polską granicę, kontrolujący żołnierz przerwał ten bilet i powiedział: „w jedną stronę”. Dlatego też w posiadaniu naszej rodziny jest tak naprawdę połowa tego najważniejszego w życiu prababci biletu.

Ta pamiątka ma bardzo duże znaczenie dla całej naszej rodziny, dzięki niej prababcia Aniela mogła po długim zesłaniu wrócić do Polski, a moja babcia Wanda urodziła się już w Polsce. Bilet na co dzień przechowywany jest u babci Wandy (córkki Anieli) w szufladzie, schowany w papierowej kopercie wraz z innymi dokumentami i zdjęciami prababci. Wyciągamy go przy różnych okazjach rodzinnych, gdy oglądamy zdjęcia, a babcia opowiada nam wtedy wzruszającą historię

swojej mamy.

Bardzo dbamy o ten bilet. Jest bardzo delikatny ma już ponad 73 lata, jest mocno zniszczony i lekko pożółkły. Jest świadkiem bardzo ważnej historii, która przekazywana jest w naszej rodzinie z pokolenia na pokolenie. Za każdym razem, kiedy przypominamy sobie historię prababci Anieli, uświadamia nam to jak dobrze żyć w wolnym kraju.



## Wiktorija Błaż

Szkoła Podstawowa im. Stefana Żeromskiego  
w Trzcieńsku-Zdroju

### *Moja rodzinna pamiątka*

Moja rodzina posiada wiele pamiątek, lecz to zdjęcia moich prapradziadków mają dla mnie szczególną wartość sentymentalną. Za każdym razem, gdy patrzę na te portrety, przypominam sobie o ich wzruszającej, a zarazem tragicznej historii.

Pewnego dnia do biura meldunkowego w Ostrogu na Wołyniu, w którym pracował mój prapradziadek, przyszła dziewczyna o pięknych dużych oczach oraz długich, kruczoczarnych włosach. Była to moja praprababcia Klementyna, która niedawno zamieszkała u swojej cici. W tym dniu zaczęła się ich wspólna historia. Młodzi pobrali się w styczniu 1921 roku, a niedługo potem mój prapradziadek został policjantem. Przez dziesięć lat nie mieli stałego miejsca zamieszkania. Dopiero w 1934 roku mój prapradziadek wybudował dom w Rymaczach, którego część przeznaczył na posterunek policji. Z ich miłości narodziło się jedenaścioro dzieci, lecz tylko sześcioro z nich przeżyło. Mimo tak wielkiej straty, potrafili z nadzieją patrzeć w przyszłość oraz cieszyć się tym, że są razem. Wspierali się wzajemnie i pomagali sobie w codziennym życiu. Pracowici, opiekuńczy ludzie o dobrych sercach. Byli bardzo wierzący i w wierze wychowywali swoje dzieci.

W Rymaczach mieszkał również fotograf, do którego przychodzili wszyscy mieszkańcy. Wiosną 1939 roku postanowili zrobić sobie zdjęcia również moi prapradziadkowie.



Na jednym ze zdjęć widnieje mój prapradziadek ubrany w ciemny garnitur oraz białą koszulę, którą zdobi krawat. Ma czarne, elegancko uczesane włosy, a także równe czarne wąsy. Jest szczupły i bardzo poważny. Druga fotografia przedstawia moją praprababcie ubraną we wzorzystą sukienkę z białym kołnierzem. Włosy ma spięte w elegancki kok, a oczy przenikliwe. W tym dniu żadne z nich nie przypuszczało, iż są to ich ostatnie zdjęcia, które staną się piękną pamiątką dla przyszłych pokoleń.

Niestety, ich szczęście rodzinne oraz spokój przerwała wojna. Mojego prapradziadka 17 stycznia 1940 roku aresztowali Sowieci i osadzili w więzieniu w Kowalu. Wszyscy bardzo płakali: Klementyna, Stanisław i ich dzieci. Moja praprababcia jeszcze w styczniu i lutym jeździła do niego z paczkami, lecz nie spotkała się z nim. W lutym dostała od niego tylko karteczkę, na której pisał, że czuje się dobrze, co dało jej nadzieję, że jeszcze ujrzy swojego ukochanego męża. Jednak kiedy pojechała do niego w marcu, jej wiara, którą miała miesiąc wcześniej zgasiła, jego już tam nie było. Gdy wróciła do domu, powiedziała swoim dzieciom, że już go nigdy więcej nie zobaczą. Mój prapradziadek Stanisław zakończył życie wraz z innymi polskimi oficerami i urzędnikami w Bykowni pod Kijowem – został rozstrzelany. Natomiast trzynastego kwietnia 1940 roku moją praprababcie wraz z dziećmi wywieziono do Kazachstanu, a stamtąd na Syberię, gdzie musiała walczyć o przetrwanie swoje oraz swoich dzieci. Mogła tylko zabrać ze sobą najpotrzebniejsze rzeczy, kilka pamiątek i dokumenty. Między innymi zabrała zdjęcia swoje i swojego męża, gdyż pamięć o nim pomagała jej w tych strasznych latach. Mimo skromnego dobytku, dawała sobie radę, wymieniała rzeczy na jedzenie. Wspierały ją starsze córki, które przynosiły zdobyte jedzenie do ich skromnej, ciemnej i zimnej lepianki, będącej wtedy ich domem. Lecz liczne choroby, zmartwienia i zgryzoty odbiły piętno na jej zdrowiu. Dlatego kiedy nastąpiła epidemia malarii, nie miała już siły na walkę z chorobą. Zmarła otoczona dziećmi na dalekiej, mroźnej Syberii 6 listopada 1944 roku. Po jej śmierci rodzeństwem zaopiekowała się moja prababcia Maria, która mimo tragedii, jaka ich spotkała, nie poddała się. Stała się dla nich opoką, zdobywała dla nich jedzenie, pielęgnowała w chorobach i chroniła. To właśnie ona po śmierci swojej mamy przechowywała dokumenty i zdjęcia rodziców, a moich prapradziadków.

Dzięki miłości i wzajemnemu wsparciu, a przede wszystkim swojej mamie, która „czuwała nad nimi”, moja prababcia wraz z rodzeństwem w maju 1946 roku wróciła na „Ziemie Odzyskane”. Zostali przywiezieni

do Gryfina, a stamtąd do Strzeszowa. Targały nimi mieszane uczucia, w ich sercach mieszała się radość i smutek, wiedzieli, że nie zobaczą ukochanych rodziców już nigdy. Pozostały im tylko wspomnienia rodzinnego domu, portrety z wizerunkami moich prapradziadków.

Zdjęcia te bardzo dużą wartość sentymentalną miały dla mojej prababci Marii. To ona portrety swoich rodziców oprawiła w ramy i powiesiła w swoim domu. Zamieszkała w nim po ślubie z moim pradziadkiem Michałem 1 maja 1948 roku. Portrety te wiszą do dziś, a dom mojej prababci i pradziadka jest teraz moim domem rodzinnym. Dlatego kiedy patrzę na moją praprababcie Klementynę i prapradziadka Stanisława za każdym razem przypominam sobie historię ich pięknej, lecz tragicznej miłości. Uświadamiam sobie również jak wielką krzywdę wojna wyrządziła moim przodkom. Wiem jednak, że pamięć po nich pozostanie, gdyż imiona i nazwiska moich prapradziadków Klementyny i Stanisława Kuźmińskich są uwiecznione również na nagrobkowej płycie moich pradziadków Marii i Michała Czubko. Grób ten mieści się na cmentarzu w Trzciesku-Zdroju. Tam też po śmierci mojej prababci została wsypana ziemia z cmentarza Katyńskiego z Bykowni, którą w 2012 roku przywiozła siostra mojego dziadka.

Wybrałam fotografie moich prapradziadków, gdyż dzięki nim poznałam historię mojej rodziny. Dowiedziałam się kim byli moi przodkowie i jakimi pięknymi wartościami kierowali się w życiu. Dla nich najważniejsza była wzajemna miłość i szacunek oraz głęboka wiara w Boga. Te wartości przekazywane są w mojej rodzinie po dziś dzień.



## Karolina Świgoń

Szkoła Podstawowa nr 8

im. kpt. ż.w. Konstantego Maciejewicza w Kołobrzegu

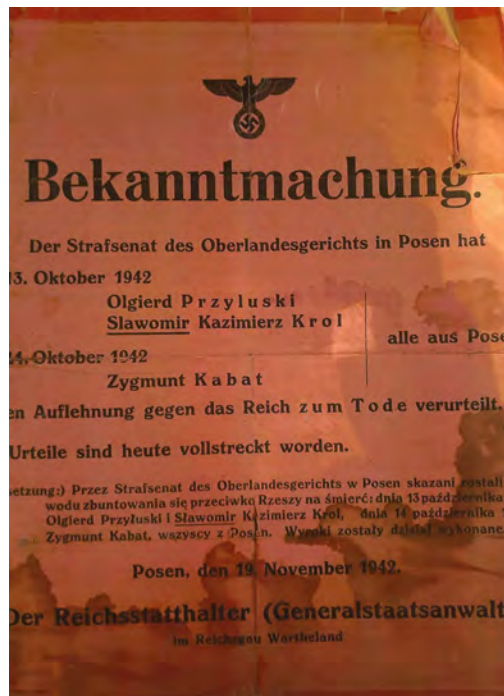
Jestem uczennicą klasy ósmej i jak wiadomo, na zakończenie szkoły czeka mnie egzamin ósmoklasisty, który zachęca do zdobywania większej wiedzy w różnych dziedzinach. Któregoś dnia, kiedy przygotowywałam się do lekcji historii, weszła do mojego pokoju Babcia i spytała czego się uczę. Powiedziałam jej, że staram się opanować materiał z zakresu II wojny światowej. Gdy to usłyszała, zaczęła opowiadać mi historię naszej rodziny, pokazując zniszczoną, ale oryginalną pamiętkę z tamtego okresu.

To bardzo smutna pamiętka. Obwieszczenie niemieckiego Wyższego Sądu Okręgowego w Poznaniu z roku 1942 informujące, że za działalność podziemną, zbuntowanie się przeciwko Rzeszy, skazany został na śmierć Olgierd Przyłuski – brat mojego dziadka Ryszarda.

Olgierd – zdrobniale Olo, był uczniem poznańskiego liceum i tam zaczął działalność konspiracyjną, roznosząc ulotki i znając miejsca ukrycia

broni. Do tej samej organizacji dołączył też drugi brat mojego dziadka, Leszek. Niestety ktoś doniósł Niemcom o działalności organizacji i zdradził nazwiska jej członków. Dnia 20 czerwca 1940 roku o godzinie 2 w nocy przyszło po Ola (tak mówiła na niego jego mama) Gestapo i zabralo Go do poznańskiego więzienia w Forcie VII. Oczekiwał tam na przesłuchanie.

Po czterech tygodniach Gestapo aresztowało również młodszego brata Leszka, który niewiele wiedział o organizacji i nie znał nazwisk jej członków. Leszek przebywał również w Forcie VII w Poznaniu.



W marcu 1941 roku braci przewieziono do więzienia we Wronkach i tam dzięki pomocy strażnika więziennego (sprzyjał on Polakom) doszło do 15-minutowego spotkania braci. Ponieważ niemiecki Sąd Rejonowy w Poznaniu nie czuł się kompetentny do rozpatrywania sprawy braci Przyłuskich – przekazano sprawę do dalszego rozpatrzenia przez Najwyższy Sąd Wojenny w Berlinie – tym samym Olgierd i Leszek zostali przewiezieni do więzienia Berlin-Spandane.

Po wielu przesłuchaniach we wrześniu 1942 roku nadszedł termin ich rozprawy. Sąd Wojenny wyznaczył go na 13 października 1942 roku w Poznaniu. Wyrokiem Sądu Olgierd Przyłuski został skazany na karę śmierci, a Lech Przyłuski na karę 2 lat ciężkich robót – Olgierd miał 20 lat, a Leszek 16 lat. Wyrok wykonano 13 października 1942 roku. Olgierd zginął pod gilotyną. Prochy skazanych podobno rozsypało za płotem cmentarza w Poznaniu-Górczynie. Rodzice nie mogli pochować syna, gdyż nie wydano im zwłok.

Drugi brat Lech przeżył, do 1944 roku odbywał dwuletnią karę w więzieniu we Wronkach. Kiedy dobiegł koniec kary, nie został zwolniony, gdyż był więźniem politycznym. Został wywieziony i przebywał w obozach koncentracyjnych: Rogoźnica na Dolnym Śląsku, Brig, Gross-Rosen. Lech został wyzwolony przez Amerykanów w obozie Ebensee-Lomauddo Mathausen (Austria) w 1945 roku. Wrócił do Polski, do rodzinnego Poznania. Skończył studia ekonomiczne. W 1968 roku wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. Ma obecnie 95 lat, mieszka w stanie Kalifornia. Spisał swoje wspomnienia z okresu II wojny światowej. W 1995 roku wydał książkę pod tytułem „Ile razy można umierać”. Zachęcam do jej przeczytania bardzo gorąco.

Najmłodszy z braci Przyłuskich, ma lat 80, mieszka w Kołobrzegu i jest moim kochanym Dziadkiem.

Po wysłuchaniu historii jednej bardzo smutnej pamiętki rodzinnej, przeszedł mnie aż dreszcz, że człowiek człowiekowi może zgotować taki los, ale jestem bardzo dumna, że moi przodkowie własnym życiem i zdrowiem przyczynili się do tego, by nasza Ojczyzna była niepodległa.

**Aleksandra Woźniak**

Szkoła Podstawowa nr 18  
im. Jana Matejki w Koszalinie

*Zegarek*

Historia zegarka jest nieskomplikowana jednak czasy, których był świadkiem i nierozłącznym towarzyszem są warte opowiedzenia. Wygląda, jak wiele innych czasomierzy z tamtych czasów. Cyferblat jest pod klapką, na której pierwszy właściciel wygrawerował swoje inicjały „MS”. Maurycy Sowiński kupił ten zegarek i nosił dumnie przypięty długim złotym łańcuszkiem w bocznej kieszeni kamizelki. Nie miał syna, więc przekazał go swojej najstarszej córce Katarzynie w dniu jej ślubu, jako prezent dla jej męża Antoniego. Gdy ich najstarszy syn, a mój pradziadek Fromencjusz został urzędnikiem w przedwojennym bydgoskim Ratuszu, dostał go w prezencie od swoich rodziców. Jednak 26 sierpnia został zmobilizowany do wojska i wtedy oddał go swojemu pięcioletniemu synowi Henrykowi. Mój dziadek był wtedy za mały i przechowywała go mama dziadka, moja prababcia Stefania. Długi złoty łańcuszek często ratował ją i dzieci w ciężkich czasach wojny. Wymieniany był po kawalku na jedzenie albo bezpieczne schronienie. Po wojnie prababcia oddała ten zegarek mojemu dziadkowi, a on po latach przekazał go mojej mamie. Opowiadając mi tę historię obiecała, że kiedyś ja zostanę jego właścicielką, by móc przekazać go dalej.



Mieczewo, 1938 rok

*A teraz o tym,  
gdzie się podział złoty łańcuszek*

Opowieść zacznę od momentu, kiedy zegarek jest już u kolejnego właściciela. Pięcioletni Henio czasami, gdy płacze albo tęskni za ojcem, dostaje go na chwilę do rąk od swojej mamy pod jej nadzorem. Kiedyś pozwalał mu na to ojciec. Zawsze najpierw otwiera klapkę i śledzi biegnące wskazówki, a potem przykłada do ucha i słucha delikatnego tykania. Lubi to robić, to go uspakaja i na moment chłopiec zapomina o złych wojennych rzeczach, których nie rozumie.



Początek ich wspólnej wędrówki zaczyna się w sierpniu 1939 roku w Bydgoszczy, po wcieleniu ojca do wojska. Dnia 4 września usłyszeli pierwsze strzały. Walenie do drzwi i wypędzenie wszystkich z kamienicy na podwórko z podniesionymi rękoma, było pierwszym strasznym przeżyciem. Gdy oddzielono mężczyzn od kobiet i dzieci, mały Henio pobiegł za wujkiem Stanisławem, młodszym bratem swojej mamy. Mocny kopniak od Niemca odtrącił go na bok. Mama i jego starsza siostra Krysia podniosły płaczącego chłopca. Gdy po wszystkim wrócili do domu mieszkanie było zdemolowane. 7 września przyszło do nich dwóch Niemców w czarnych mundurach i kazali im się wynosić. Na szczęście mieli już spakowane najpotrzebniejsze rzeczy. Nie mieli gdzie się podziać i za pierwszy kawałek złotego łańcuszka znajomy wujka załatwił im kąt w opuszczonym sklepiku. Mieszkali tam do stycznia 1940 roku.

Po długich staraniach mamy i przy pomocy kolejnego kawałka złotego łańcuszka udało się załatwić dokumenty i pozwolenie na wyjazd do rodziny do Gostynina.

Mieszkanie było w czterorodzinnej kamienicy obok wjazdu na żydowski cmentarz, który nazywano „Kirkut”. Przez okno obserwowali pogrzeby. Czasami do studni na podwórku przychodzili po wodę żydowscy żałobnicy, żeby obmyć oczy i ręce swoim zmarłym, bo taki mieli zwyczaj. Słyszając głośny płacz i ubolewanie żałobników przestraszony Henio wchodził w kuchni pod stół i przykładał do ucha zegarek. Przesztawał się bać.

Później w Gostyninie Niemcy utworzyli getto i nie urządzano już pogrzebów. Zmarłych wywożono do lasu ciężarówkami.



Henryk i Krystyna,  
Gostynin, 1942 rok

Mama pracowała u rodziny niemieckiej: gotowała i sprzątała. Zawsze w domu był chleb i kozie mleko, a czasami nawet marmolada. W tym samym czasie dostali wiadomość o swoim ojcu. Był w obozie jeńców wojskowych w Königsbergu.

Często, gdy było źle patrząc na tarczę zegarka wspominali przedwojenny, beztroski czas, kiedy byli wszyscy razem i chodzili na niedzielne spacery na bydgoskie błonie, bawili się nad rzeką, mieli ciepły i bezpieczny dom, nie byli głodni.

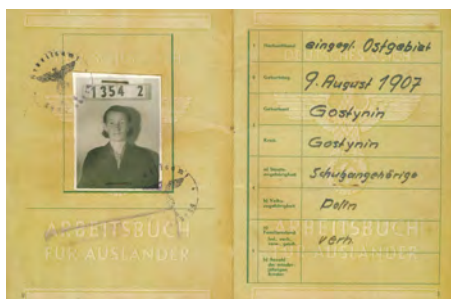
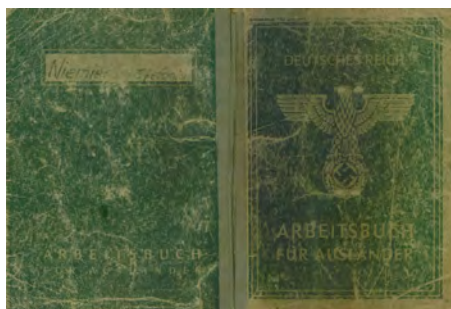
W czerwcu 1942 roku zaczął się ich najgorszy okres, wszyscy zostali wywiezieni do Łodzi i przez tydzień byli przetrzymywani przez Niemców w pustej fabryce. Spali na betonowej podłodze.

Raz dziennie dostawali kubek wody i po kawałku suchego chleba. Za kilka kolejnych oczek złotego łańcuszka od zegarka, mama załatwiła swoim głodnym dzieciom cztery gotowane ziemniaki. Przerażeni i głodni nie byli pewni jutra. Pewnej nocy Niemcy zapakowali wszystkich do pociągu i towarowymi wagonami wywieźli do Niemiec. Po kilkudniowej koszmarnej podróży bez jedzenia i toalety, dojechali w nocy w okolice Lubeki. Na dworcu podzielono ludzi na grupy i stopniowo wywożono w różne miejsca. Znaleźli się z innymi w dużej stodole. Byli tam z innymi jeńcami

do jesieni. W dzień wszyscy pracowali w polu. Wieczorem dostawali miszkę wodnistej zupy.

We wrześniu zostali przewiezieni do obozu pracy. Tam kolejne oczka złotego łańcuszka udawało się czasami wymienić na kromkę suchego chleba, brukiew lub ziemniaki. Zegarek Stefania zawsze nosiła przy sobie skrzętnie ukryty. Głód i strach były codziennością. Warunki były bardzo ciężkie. Ani Henio ani Krysia, ani ich mama nigdy później nie chcieli o tym opowiadać.

Po kilku miesiącach zostali przewiezieni do obozu przejściowego, w którym okoliczni bauerowie lub



fabrykanci kupowali więźniów do pracy.

Stefanię i jej wychudzone dzieci kupił bauer Kelm z wioski Drugehnen. Potrzebował osoby do prowadzenia domu, żeby mu gotowała, sprzątała, prała i karmiła zwierzęta w gospodarstwie. Dał im czyste ubrania i osobny pokój. Kelm był wdowcem z dwójką synów. Całymi dniami pracował w swojej dużej stolarni i robił skrzynie do przewodów.

Heniu chodził tam sprzątać wióry z podłogi i układać drewno. Krysia z mamą pracowały w domu i gospodarstwie. Kelm był surowym, ale poczciwym człowiekiem, jednak jego synowie byli inni. Jürgen i Hans, Niemcy czystej krwi, chodzili w brudnych koszulach na spotkania organizacji Hitlerjugend. Nie lubili nikogo, kto nie był Niemcem. Jak ich ojciec tego nie widział dokuczali Krysi i Heniowi.

### *A teraz o tym*

#### *dla czego zegarek nie ma wskazówek ani szkiełka*

Któregoś dnia przed kolacją, Henio bawił się zegarkiem taty. Przyłożył go sobie do ucha i z zamkniętymi oczami słuchał tykania. Wtedy do kuchni wbiegł Hans i wyrwał Heniowi zegarek. Mniejszy o głowę chłopiec próbował go odebrać i wtedy zegarek upadł i roztrzaskał się o posadzkę. Zapłakany Henio zaczął na kolanach zbierać części zegarka i potłuczone szkiełko, wskazówki leżały nieco dalej. Chłopiec już je prawie miał w ręczce, kiedy Hans z miną zadowolenia nadepnął twardym butem na delikatne wskazówki i chwytające je paluszki chłopca. Nie odrywając buta od podłogi tarł podeszwą po kamiennej posadzce. Krzyk dziecka usłyszał bauer Kelm. Wbiegł do kuchni i odciągnął syna. Henio z pokaleczoną rączką uciekł z płaczem. Nie było już nic, co przypominało lepsze czasy.

W październiku 1944 roku mieli wiadomości o ojcu. Za ostatni kawałek złotego łańcuszka, zaprzyjaźniony Niemiec odnalazł go w obozie jenieckim niedaleko Kolonii.

Pod koniec marca, Fromencjusz przyjechał do nich i dostali pozwolenie na powrót do Polski. 8 maja 1945 roku wyruszyli do rodziny do Gostynina, a pod koniec czerwca wrócili do Bydgoszczy. Niestety ich



dom był zniszczony. Dostali skierowanie na osiedlenie się na ziemiach zachodnich, wybrali Darlowo. W grudniu 1945 roku zamieszkali w domu przy ulicy Wieniawskiego 2.

Tam Henio i Krystia dorosli i założyli rodziny. Tam też urodziła się później moja mama.

Polaki Związek ochotniczy  
Korpus Ochrony Pogranicza  
Dyktando, Szalewickich 8

Dyktando, dnia 3. XI. 1945r.

Maksym wyjazd na szkodę Nr. 115 377

1/ Nazwisko i imię Stefania z d. Podel

2/ Data i miejsce urodzenia 11.3.1891r. Sokoł pod Sanktą

3/ Miejsce zamieszkania Dziadowa Szlachecka 33/2

4/ Zawód urzędniczka 5/ Stan rodzinny zamężna

6/ Mieszka się w grupie rodzinnej

7/ Do Warszawy celowiska arty.

Wszystkie władze wojskowe i cywilne uprasza się o ustalenie pomocy i opieki aż do jego miejsca przeznaczenia.

Za Zarząd Ochrony Pogranicza  
Korpus Ochrony Pogranicza  
w Bydgoszczy  
Prasa

Dr. 626

Telefon 22. 9/11.45.

WYKAZ WŁASNOŚCI

Własność państwa: Władimir Fromencjusz Niemierow

Własność prywatna: Elizabetta # 1000. 10/11. 1945

Własność państwa: Elizabetta Własność prywatna: Elizabetta

Rezerwa Mieszkańców

BURMISTRZ  
Miasta - erowu

w/ St Dulewicz

L. Niemierow



Stefania z d. Podel i Fromencjusz Niemierowie.  
Darlowo, 1949 rok

### *Dlaczego zegarek nie został naprawiony*

Jak pytaliśmy dziadka, dlaczego nie chce naprawić zegarka odpowiadał, że te brakujące, zniszczone i zdeptane wskazówki są jak jego zniszczone dzieciństwo i nie da się już tego naprawić.

Niedawno mój dziadek zmarł. Na pewno mógł mi jeszcze wiele opowiedzieć. Ja jednak nie wszystko potrafię zrozumieć. Tamte czasy były okropne.

### **Marta Błaż**

Szkoła Podstawowa nr 1

im. Marynarki Wojennej RP w Świnoujściu

### *Pamiętka rodzinna - Żołnierskie pudełko*

Pewnego dnia w domu u mojej babci znalazłam pudełko z bardzo starymi rzeczami, znajdował się w nim album ze zdjęciami, zielone zawiniątko z troczkami i naszywka na mundur, jak się później dowiedziałam, emblemat 1 Dywizji Pancerniej.

Spytalam babcię, do kogo należały przedmioty z pudełka. Babcia powiedziała mi, że zdjęcia i wszystkie inne rzeczy z tego pudełka pochodzą z czasów II wojny światowej i należały do mojego pradziadka Tadeusza. Zielone zawiniątko okazało się być przybornikiem żołnierza, w którym była brzytwa i nożyczki. Dowiedziałam się również, że był tam jeszcze pędzelek i pojemnik na mydło, ale babcia, gdy chodziła do szkoły średniej, dała je na wystawę związaną z II wojną światową i nigdy już do niej te pamiątki nie wróciły.



Ze starego albumu najbardziej spodobało mi się zdjęcie, na którym pradziadek był z psem. Był to pies rasy owczarek niemiecki z piękną białą krawatką. Babcia powiedziała, że pies nazywał się Woli. Ponieważ bardzo chciałabym mieć takiego psa, poprosiłam babcię, aby opowiedziała mi historię Woli. Dała mi zdjęcie do ręki i zaczęła opowiadać.

W 1938 roku dziadek został wcielony do 1 Brygady Motorowej. 1 września 1939 roku rozpoczęła się II wojna światowa, w której pradziadek brał udział – w walkach od Jordanowa do Lwowa. Po klęsce Polski, dziadek wraz z wieloma innymi żołnierzami próbował przedostać się przez Rumunię i Jugosławię do Francji. Gdy mu się w końcu udało, wstąpił tam do Polskiej Armii generała Maczka. Od 1 do 20 czerwca 1940 roku brał udział w walkach z Niemcami od La Garde do Bordeaux. Gdy upadła Francja grupa żołnierzy chciała dostać się do Anglii poprzez kolonię francuską w Afryce, ale zostali niestety złapani przez francuskich kolaborantów z Vichy.

Pradziadek spędził w Afryce dwa lata we francuskim obozie jenieckim i nie były to łatwe lata, ponieważ pracował przy budowie kolei na trasie Oran-Casablanca. Szczególnie ciężkie były święta Bożego Narodzenia, które żołnierze musieli spędzić na pustyni przy skromnym stole wigilijnym. Były to bardzo smutne chwile, ale nie brakowało też radosnych. Spojrzałam na zdjęcie wykonane w Afryce, na którym mała malpka wita się z żołnierzami, na twarzy każdego z nich gości uśmiech.

Wojska alianckie, które dotarły do Afryki i wyzwoliły obóz, pomogły żołnierzom przedostać się do Anglii, gdzie pradziadek został ponownie



wcielony do dywizji generała Maczka do 1 Pułku Artylerii Motorowej.

W 1944 roku uczestniczył w inwazji na Francję. W czasie tych działań wojennych spotkał oficera niemieckiego, który został wzięty do niewoli. Poprosił on pradziadka, żeby zaopiekował się jego psem. Ten pies to była Woli. Od tego momentu pradziadek razem z Woli brał udział w walkach o Holandię, Belgię i Niemcy, jako kierowca samochodu dowódcy dywizjonu oraz czołgu „Sherman”. Walczył między innymi pod Falaise i o wyzwolenie Bredy. Za jej wyzwolenie żołnierze polscy zostali honorowymi obywatelami tego miasta. Razem z Woli, zakończyli szlak pod Wilhelmshaven.



Po zakończeniu wojny pradziadek wraz z dywizją powrócił do Anglii. Musiał pożegnać swojego najwierniejszego psiego przyjaciela z kampanii, ponieważ Woli musiałaby przejść angielską kwarantannę. Dziadek postanowił poszukać dla swojego psa opiekunów. Znalazł wspaniałą holenderską rodzinę, która bardzo chętnie nim się zajęła. Przebywając w Anglii, dziadek otrzymał wiadomość od rodziny, która zaopiekowała się psem, że ten nie chce jeść i jest smutny. Pewnego dnia przysłała ta najgorsza wiadomość, że Woli odeszła.

Dziadek tuż przed wojną ożenił się i przez całą wojnę nie miał wiadomości o swoich bliskich, którzy również nie znali jego losu. Dlatego też po rozwiązaniu dywizji postanowił powrócić do Polski, co mu się udało w 1948 roku.

W dniu 29 października 2019 roku uroczystość obchodzono 75. rocznicę wyzwolenia Bredy przez żołnierzy generała Maczka. Oglądałam w telewizji uroczystość w mieście Breda z udziałem naszego Pana Prezydenta. Widziałam jeszcze kilku żołnierzy, którzy żyli w tych czasach, pomyślałam, że może byłby tam mój pradziadek, gdyby jeszcze żył.

Zrozumiałam, że ten album i pamiątki po pradziadku będą dla mnie i dla przyszłych pokoleń bezcenną pamiątką rodzinną i najlepszą lekcją historii.

**Kaja Żebietowicz**

Katolicka Szkoła Podstawowa  
im. Świętej Rodziny w Szczecinie

*Tik-tak, tik-tak...*

Z myśli rozlicznych i ciszy panującej w pokoju dochodzi do mojej świadomości dźwięk bicia zegara. Coraz głośniejszy, coraz wyraźniejszy. Jakby dopominał się o moją uwagę. Spoglądam z czułością na zegar stojący na kominku.

*Tik-tak, tik-tak...*



Coś do mnie mówi. Ale co? Wsłuchując się w ten odgłos, nagle zaczynam pojmować, co chce mi powiedzieć. On w tej chwili odmierza mój czas.

Tik-mija chwila, tak-druga za nią podąża. Jaka jest ta chwila? Nie wiem. Jeszcze nie rozumiem. Rozeznać chwilę można dopiero po czasie.

Patrzę na zegar. Należy do mojej babci i jest zegarem kominkowym. Został wyprodukowany około roku 1915 przez niemiecką, słynną i renomowaną w tamtym czasie firmę braci Junghas A-G-Alpina. Zabytek ma piękną, brązową obudowę wykonaną z drewna orzechowego z widocznymi słojami. Cyferblat jest w mosiężnej ramce. Pozostałe elementy tarczy – cyfry oraz wskazówki – wykonane są również z mosiądzu. Zegar ma szerokość 57 cm, wysokość 25 cm, a głębokość 15 cm. Mimo upływu czasu jest on nadal sprawny. Chodzi, głośno tykając i wybijając godziny pięknym, donośnym dźwiękiem jak z bajki – „tik-tak”. Jest nakręcany oryginalnym, starym kluczykiem. Mechanizm niemieckiej jakości, dopracowany w każdym szczególe, sprawia, że zegar przetrwał próbę

czasu. Jest niezwykle punktualny. Jego historia jest bardzo ciekawa. Może dlatego, że odmierzał godziny ludziom, którzy potrafili poświęcić swoje życie drugiemu człowiekowi.

*Tik-tak, tik-tak...*

*Szczekociny, rok 1915*

Mała, sześciolatnia dziewczynka o imieniu Róża ucieszyła się bardzo, gdy tata przyniósł do domu nowy zegar kominkowy. Wzbudził jej zachwyt, ponieważ wydawał on dźwięki. Gdy zegar wybijał pełne godziny liczbą uderzeń, wraz z nim odliczała pełna uczuć:

*Tik-tak, tik-tak...*

Rodzina żydowska Reinerów – mama, tata, Róża i jej brat mieszkali w małym, drewnianym domku w Szczekocinach, w pobliżu Częstochowy. Ojciec dziewczynki był właścicielem małego sklepu bogatego w różnorodne przedmioty. W tamtych czasach nie zawsze zapłatę stanowił pieniądź, lecz często dochodziło do wymiany towarowej. W taki sposób do rodziny trafił zegar. Od tej pory, przez wiele lat, odmierzał on Reinerom szczęśliwe godziny, aż do czasu wybuchu II wojny światowej.

*Tik-tak, tik-tak...*

W Szczekocinach mieszkało wielu Żydów. Pierwsi zaczęli się tam osiedlać jeszcze w XVII wieku. Społeczność ta rosła jednak i pod koniec wieku XIX żyło już tam ponad 1300 Żydów. Istniała wydzielona dzielnica, w której mieszkali, posiadali murowaną synagogę i własny cmentarz. Przed wybuchem II wojny światowej ludność żydowska liczyła już ponad 2,5 tysiąca osób, co stanowiło około 50% ludności Szczekocin. Po ataku Niemców na Polskę 1 września 1939 roku już 4 września Szczekociny zostały zajęte przez wojsko niemieckie, a większość żydowskiej zabudowy miasta została spalona. Jesienią 1940 roku władze niemieckie nakazały utworzenie w Szczekocinach getta. Przesiedlano tam Żydów z okolicznych miejscowości, zmuszano ich do ciężkiej pracy, bito i prześladowano. We wrześniu 1942 roku przeprowadzono likwidację getta i wywieziono wszystkich Żydów do obozu zagłady w Treblince. W latach 1944–1945 w Szczekocinach funkcjonował obóz pracy przymusowej, w którym dochodziło do licznych egzekucji. Zagładę wojenną przeżyło tylko około 200 Żydów. Wśród tych, którzy przeżyli, znajdowała się rodzina Pani Róży Reiner.

Już w czasie pierwszych działań wojennych dom rodzinny Reinerów splonął. Udało się uratować tylko nieliczny dobytek, w tym – zegar. W pożarze zginęli starsi Państwo Reiner. Róża wraz z bratem nie mieli gdzie się podziać. Dla zegara nadszedł czas odliczania tych złych godzin, pełnych strachu, bólu i wojny.

*Tik-tak, tik-tak...*

#### *Dąbrowica, rok 1939*

Szukając sposobu na przetrwanie i uratowanie życia, pani Róża postanowiła zwrócić się o pomoc do dawnej przyjaciółki z gimnazjum – Wandy Trawińskiej – mojej prababci. Wiedziała, że polska rodzina znalazła schronienie w dworku w Dąbrowicy pod Szczekocinami, który kilka lat przed wybuchem wojny kupił ojciec Wandy.

Prababcia Wanda urodziła się w roku 1909 w Szczekocinach, niedaleko Częstochowy, w rodzinie wywodzącej się ze szlachty polskiej. Jej rodzice – Antoni Trawiński oraz Kazimiera z domu Pankowska – dochowali się dwóch córek oraz trzech synów. Antoni Trawiński posiadał znaczny majątek ziemski. Rodzinie dobrze się powodziło, dlatego wszystkie dzieci były wykształcone. Kiedy wybuchła II wojna światowa Wanda była już żoną Romana Pasterczyka – mojego pradziadka i mamą mojego dziadka Zbigniewa Pasterczyka, który urodził się we wrześniu 1935 roku. Mieszkał w Dąbrowicy, w czasie wojny moja prababcia Wanda pomogła wielu ludziom. Ukrywała m.in. dwóch zestrzelonych rosyjskich lotników, którym udało się przedostać do partyzantów dzięki jej pomocy. Wspierała przez całą wojnę polskich partyzantów, z okolicznych lasów, organizując dla nich żywność i kontakt ze światem zewnętrznym. Nawet mój dziadek Zbyszek, choć miał wówczas kilka lat, nosił w czapkach grypsy, i przekazywał wiadomości, narażając swoje życie.

Prababcia Wanda udzieliła, oczywiście, schronienia swojej dawnej przyjaciółce. Dwoje Żydów wraz z dobytkiem, który udało im się zabrać, otrzymało pomoc i schronienie. Potrzebny był im czas, aby przeczekać zorganizowanie dla nich fałszywych dokumentów. Takim właśnie sposobem zegar trafił do Dąbrowicy.

*Tik-tak, tik-tak...*

Przez jakiś czas odmierzał wspólne godziny dawnym przyjaciółkom. Ponieważ obie kobiety były, jak na tamte czasy, bardzo dobrze wykształcone, prowadziły potajemnie lekcje, ucząc okoliczne dzieci podstawowych

przedmiotów – przede wszystkim języka polskiego i polskiej literatury. Przed wybuchem II wojny światowej niewiele dziewcząt posiadało wykształcenie, szczególnie w małych miasteczkach. W Szczekocinach już w 1912 roku powstało pierwsze rosyjskie gimnazjum. Rozwiązano je jednak w 1914 roku po wybuchu I wojny światowej. Następnie w 1916 roku została zorganizowana drużyna harcerska, w ramach której udzielano prywatnych lekcji w zakresie szkoły średniej. To dało początek nowej polskiej szkole. W 1920 roku powstała na mocy rozporządzenia ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego szkoła, która używała prawa gimnazjum państwowego. Tę szkołę ukończyły moja prababcia Wanda Trawińska i jej przyjaciółka – Róża Reiner maturą w 1928.

*Tik-tak, tik-tak...*

#### *Dąbrowica, rok 1940*

Nadszedł czas pożegnania. Róży i jej bratu zorganizowano fałszywe dokumenty, które umożliwiły im ucieczkę poza granice okupowanego przez Niemców, kraju. Niestety Reinerowie nie mogli nic ze sobą zabrać, co oznaczało, że nadszedł czas na zmianę właściciela zegara. Od tej pory odmierzał on czas prababci Wandy i jej rodziny.

*Tik-tak, tik-tak...*

#### *Kraków, rok 1970*

Pani Róży i jej bratu udało się przeżyć wojnę. Kobieta po zakończeniu działań wojennych wróciła do Polski i zamieszkała w Krakowie. Jej brat na stałe osiadł w Kanadzie. To właśnie on odnalazł moją prababcie i zaprosił ją na spotkanie po latach. Była na nim również moja mama wraz ze swoimi rodzicami – babcią Marysią i dziadkiem Zbyszkiem (tym małym chłopcem, który wówczas miał kilka lat i nosił w czapkach grypsy partyzantom). Polały się łzy szczęścia i radości.

*Tik-tak, tik-tak...*

#### *Szczecin, rok 1979*

Kiedy moja prababcia Wanda skończyła 70 lat, jej syn, Zbyszek Pasterczyk, postanowił zabrać ją pod swoją opiekę. Mój dziadek znalazł się w Szczecinie, ponieważ przyjechał tutaj na studia. Dzięki temu, że Wanda uczyła go w czasie wojny, w wieku 17 lat zdał państwową maturę i w ten sposób stał się najmłodszym studentem Politechniki Szczecińskiej. Całe swoje życie – rodzinne, jak i zawodowe – związał ze Szczecinem.

I tak oto zegar trafił ze Szczekocin do Szczecina.

*Tik-tak, tik-tak...*

*Szczecin, rok 2019*

Stary zegar budził moje zainteresowanie od dawna, lecz dopiero temat konkursu zmotywował mnie do rozmowy z babcią Marysią o jego przeszłości. Nie sądziłam jednak, że opowieść babci może okazać się tak ciekawą i wartościową lekcją historii. Dziś wiem, że polska pomoc Żydom w czasie II wojny światowej była bardzo wszechstronna. Było to wsparcie realizowane przez polskie organizacje humanitarne, Rząd RP na uchodźstwie, Polskie Państwo Podziemne oraz ludność cywilną RP. Polakom, którzy ukrywali Żydów przed deportacją do gett oraz obozów koncentracyjnych, groziła kara śmierci. I właśnie w ten sposób przeszłość zegara – pamiątka rodzinnej – jest w pewnym sensie częścią historii II wojny światowej. Losy Żydów w tym czasie i odwaga ludzi, którzy nie zważając na niebezpieczeństwo utraty życia, nieśli pomoc drugiemu człowiekowi, to fragment wydarzeń historycznych świadczący o wielkim bohaterstwie i desperacji człowieka w dążeniu do zwycięstwa dobra nad złem.

Mając w posiadaniu tak „drogocenną” pamiątkę, zadbam o to, aby ta historia była przekazywana z pokolenia na pokolenie w naszej rodzinie. Dziś, kiedy jesteśmy społecznością wychowywaną w czasach pokoju i o wojnie dowiadujemy się jedynie z książek, filmów i zajęć szkolnych, takie prawdziwe opowieści są dla nas namacalnym dowodem istnienia faktów historycznych. Dlatego warto zadbać o przekazywanie takich „żywych historii” kolejnym pokoleniom, aby mogły bardziej docenić życie w pokoju i codziennym szczęściu. Jestem dumna, że moja prababcia Wanda należała do grona Polaków, którzy wykazali się tak wielką odwagą w tak trudnych czasach. Jestem dumna również z tego, że dzięki prababci należę do rodziny, która uratowała kilka istnień ludzkich.

*Tik-tak, tik-tak...*

Czas biegnie odmierzany przez tykanie zegara. Życie dalej pisze nam przeróżne historie. Kto wie, co jeszcze się zdarzy i co nas czeka?

*Tik-tak, tik-tak...*

**Dominika Puzio**

Szkoła Podstawowa nr 1 z Oddziałami Integracyjnymi  
im. Bolesława Chrobrego w Kołobrzegu

*Smaki przeszłości, czyli o zeszycie mojej praprababci*

Mojej praprababci Władysławy, ani prababci Eufrozyny nie ma już z nami od dawna. Eufrozyna zmarła, gdy moja mama miała dziewięć miesięcy. Niestety nie mogłam jej osobiście poznać. Jednak moja babcia Irenka, której już też niestety nie ma od trzech lat, skutecznie pielęgnowała pamięć o niej, opowiadając bardzo dużo. Przekazała mi też wiele pamiątek po praprababci i prababci, tłumacząc, że w tych cennych przedmiotach zawarta jest informacja o człowieku, jaki był, jak żył i co lubił. Jedną z nich jest zeszyt z przepisami na potrawy słodkie. To niezwykle cenny egzemplarz, gdyż w moim domu korzysta się z niego, by odtwarzać smaki naszych przodków. Także ja sama wykorzystałam już trzy przepisy z tego zeszytu do przygotowania potraw w konkursie kulinarnym organizowanym przez Marszałka Województwa Zachodniopomorskiego pt. „Poszukiwacze smaków”, zdobywając w nim trzykrotnie nagrodę za chleb migdałowy, chleb królewski i rożki drożdżowe. Obecnie staramy się, by potrawy z tego zeszytu wpisane zostały na *Listę produktów tradycyjnych województwa zachodniopomorskiego*. Chcemy promować, zarówno tradycyjną, lokalną kuchnię, jak i pamiętać o mojej praprababci Władysławie, mając w sercu myśl: „Nie umiera ten, kto trwa w pamięci żywych...”.

Nasza rodzina ze strony mojej mamy to ród stolarzy, zajmujący się od pokoleń tworzeniem mebli. Nosiła ona nazwisko Dłubakowscy. Piąte i szóste pokolenie rodziny wstecz pochodzi z rejonów Sosnowca, Bielska-Białej i Trzebini. Tam też nasi przodkowie mieli swoje zakłady stolarskie. Wcześniej rodzina zamieszkiwała okolice Łodzi i Pajęczna. Niektórzy jej członkowie nosili nazwisko Dłubak. Część zmieniła nazwisko na Dłubakowscy. Takie informacje można odnaleźć w księgach parafialnych w Pajęcznie.

Po nieudanym małżeństwie, prababcia Eufrozyna, reprezentująca czwarte pokolenie, wraz ze swoim synem Andrzejem Dłubakowskim przeniosła się do Szczecinka. Tam też wyszła ponownie za mąż za Tadeusza Geldnera. Zamieszkała w dużym domu wraz z teściową Władysławą Geldner i służbą nad jeziorem Trzesiecko przy ul. Ordona w Szczecinku.

Kuchnia w domu prowadzona była starannie. Wszelkie przepisy



spisywane były w zeszytach, zarówno przez służbę, jak i przez praprababcie Władysławę. Zeszyt z przepisami, który znajduje się w naszym domu

i z którego korzystamy, jest niewielkich rozmiarów. Ma on ponad sto lat. Zdobí go czarna okładka, ale widać na niej „záb czasu”. Rogi zeszytu są poobdzierane i pozagniatane. W środku kartki są koloru żółtego, z pewnością wiele lat temu były śnieżnobiałe. Pismo jest staranne, czytelne. Wszystkie przepisy spisywane były piórem. Niestety kilka kartek zostało



poplamionych. Ale to właśnie jest cudowne, bo dowodzi, że zeszyt był używany. Zapewne wydarzyło się to w czasie gotowania.

W zeszycie znajdują się przepisy na wykonanie różnych ciast, deserów, przekąsek i chlebów. Jest ich około czterdziestu. Przygotowane według nich potrawy są wypełnione bakaliami, owocami, miodami i przyprawami. I tak na przykład przepis na chleb królewski, który prezentowałam podczas konkursu, brzmi:

*Ubić 7 jaj całych i 18 dkg miątkowego cukru do białości utrzeć trochę cytrynowej skórki, trochę cynamonu i goździków, trochę podtuznie krojonej cykaty, kilka w cukrze smażonych i drobno posiekanych orzechów włoskich, trochę smażonych wiśni bez soku, garść pokrojonych podtuznie słodkich migdałów 12 1/2 dkg suchej pięknej mąki. Wymieszać to wszystko dobrze, ponakładać niezbyt pełno do foremek masłem wysmarowanych i piec w piecu wolnym.*



Wiele przepisów, jak na przykład przepis na chleb królewski, ma w sobie tajemniczy składnik – cykatę. Czym jest cykata? To jeden z tych zapomnianych składników, bez którego przedwojenne gospodynie nie wyobrażały sobie świątecznych wypieków i w ogóle gotowania, a które my dziś dopiero na nowo odkrywamy. Cykata – z włoskiego *succade* – to jakiegokolwiek skórki owocowe, zwłaszcza cytrusowe, ale również skórki melona, czy w przypadku mojej babci kłącza tataraku, smażone w cukrze. Pierwotnie jednak nazwa ta odnosiła się jedynie do smażonych skórek etrogu zwanego cytronem. Babcia mieszkając nad jeziorem, do swoich potraw wykorzystywała tatarak, który rósł wokół jeziora Trzesiecko. My niestety nie posiadamy kandyzowanych kłączy tataraku i w przepisach wykorzystujemy skórki pomarańczy oraz kandyzowany imbir, który ma podobny smak. Opisany w zeszycie i wykorzystywany przez moją prababcie tatarak stanowi cenny, historyczny element kulinarny. Dzięki zeszytowi znamy przepis na kandyzowany tatarak:

*Potrzebujemy ok. 100 g oczyszczonych kłączy i 200 g cukru. Kłącza kroimy na niewielkie kawałki (ok. 0,5 cm), wrzucamy do garnuszka i gotujemy przez 35 minut. Zmieniamy wodę i gotujemy kolejne 35 minut. Czynność powtarzamy jeszcze dwa razy. Ugotowany tatarak należy odsączyć na sicie, następnie rozłożyć na tacce, zasypać cukrem i odstawić na noc. Następnego dnia smażymy go na suchej patelni przez ok. 40 minut, często mieszając. Kandyzowany tatarak możemy dodawać do deserów. Ma słodko-ostry smak i pięknie pachnie.*

Rodzina mojej praprababci była jak na owe czasy dość zamożna. Mogła sobie pozwolić na zakup wielu importowanych owoców, czy też przypraw, stąd też mnogość tych składników występujących w potrawach, opisanych w zeszycie. W domu państwa Geldner zawsze przygotowywano posiłki z dużą starannością. Wykorzystywano do nich dostępne produkty lokalne oraz importowane. Większość posiłków podawano w pokoju stołowym, na ręcznie wyszywanych obrusach i pięknej porcelanie. Do herbaty zawsze na talerzyku było coś słodkiego.

W naszej rodzinie chleb zawsze pieczony był samodzielnie. W zależności od okoliczności i dostępności surowców miał różne smaki. Wśród nich królowały chleby wytrawne, ostre, a także słodkie. Chleby królewskie i migdałowe robione były od zawsze w naszej rodzinnej kuchni. Należały do chlebów słodkich i do tej pory są pieczone z okazji zjazdów

rodzinnych, spotkań oraz świąt. To właśnie zapachy i smaki chlebów przywołują na myśl naszych przodków. Te wyśmienite chleby stały się również tradycyjnym upominkiem dla naszych bliskich.

Później zeszyt praprababci Władysławy odziedziczyła jej synowa – Eufrozyna Geldner. Ona również korzystała w swej kuchni z tych zapisków. Po śmierci Eufrozyny w 1974 roku zeszyt trafił w ręce mojej babci, Ireny Ortmann-Dłubakowskiej, synowej Eufrozyny. W 1962 roku moja babcia, Irena Ortmann-Dłubakowska, przeniosła się do Kołobrzegu. Zabrała ze sobą zeszyt rodzinny. Korzystała z niego bardzo często. Po śmierci babci zeszyt odziedziczyła moja mama, Ewa Dłubakowska-Puzio. Uwielbia z niego korzystać, między innymi przygotowując chleby, bo podczas ich pieczenia powraca do smaków z dzieciństwa. W moim domu tradycją stało się kierowanie przeze mnie lub tatę prośby do mamy: „Upiecz babciny chleb”. Chleby te są swojego rodzaju atrakcją dla naszej rodziny i znajomych. Obecnie nie spotyka się w sklepach chlebów słodkich, które pachną migdałami lub wiśniami. Chleby z zeszytu prababci mają wyjątkowy smak, smak historii i tradycji rodzinnych. Przez wiele pokoleń pieczemy je, by pamiętać o tym, co najważniejsze, o smakach przeszłości i o rodzinie. Obecnie przepisy są modyfikowane przez moją mamę, niestety nie zawsze można znaleźć te same składniki, co sto lat temu. Ale nadal są przepisami praprababci Władysławy. Kiedy w kuchni w moim domu otwiera się ten zeszyt i powstają, dzięki zapiskom z zeszytu, wspaniałe i smaczne potrawy, mam wrażenie, że gotujemy wszyscy razem odtwarzając zapomniane smaki przeszłości, moja praprababcia Władysława, prababcia Eufrozyna, babcia Irenka, moja mama Ewa i ja. Mam nadzieję, że ów zeszyt trafi do rąk kolejnych pokoleń mojej rodziny, a pamięć o praprababci Władysławie nie zaginie.

Mateusz Kołodziejczyk

Zespół Szkół Publicznych w Karnicach

### *Pamiętka rodzinna - mundur żołnierza Polskiej Armii*

Mundur należał do mojego dziadka, który początkowo był podporucznikiem Armii Czerwonej. W mojej rodzinie opowiada się o dwóch mundurach. Historia pierwszego munduru zaczęła się około 15 grudnia 1939 roku. Po klęsce kampanii wrześniowej, w której mój pradziadek wziął udział dopiero po 17 września, gdy w te dni Sowieci zaatakowali Polskę. Mój dziadek był wtedy w Korpusie Ochrony Pogranicza (KOP), ponieważ pochodził ze Lwowa. Po zażartych walkach w okolicy jego rodzinnego miasta jednostka mojego dziadka została rozbita, a on sam trafił do niewoli. Wtedy właśnie zaczyna się cała historia munduru, ponieważ około 15 grudnia Sowieci wcielili przymusem mego dziadka do Armii Czerwonej, w ramach Programu Sowietyzacji Polski Wschodniej.

Trafił on do 8 Armii, konkretnie do 18 Dywizji Strzeleckiej, którą dowodził gen. Ivan Chabarow. Walczyli oni w Wojnie Zimowej, mój dziadek również. Nie trwało to długo, ponieważ został wysłany wraz ze swoim pułkiem na szkolenie na poligon pod Kijowem, gdzie pozostał do końca Wojny Zimowej.

Dosłownie dwa dni przed atakiem III Rzeszy na ZSRR, pułk, w którym służył dziadek, został przeniesiony na odcinek południowy granicy z Niemcami. Gdy rozpoczęła się operacja „Barbarossa”, jego jednostka została niemal dosłownie rozbita, lecz dziadkowi udało się przeżyć. Cofał się z niedobitkami, aż pod Rzew, gdzie zostali rozgromieni. Dziadek ubrany w mundur sierżanta Armii Czerwonej dotarł do rosyjskiego miasteczka, kilkadziesiąt kilometrów na północny wschód od Moskwy. Ze wspomnień mego dziadka wynika, że musiał się pozbyć munduru, gdyż inaczej groziłoby mu odesłanie na front, gdzie pewnie by zginął. Wtedy postanowił zostawić sowiecki mundur w lesie i wszystkie książeczki wojskowe, oprócz polskiego dowodu osobistego. Gdy dotarł do Moskwy, pomogło mu jeszcze to, że był Polakiem i Rosjanie uwierzyli w jego wersję wydarzeń, gdyż była ona sensowna i logiczna. Mundur sowiecki i wszystko z nim związane przepadło i nigdy ich nie odnaleziono.

Dziadek został zesłany wraz z innymi polskimi robotnikami z ZSRR za Ural do fabryk i kamieniołomów. Po roku pojawiła się nadzieja,

aby znów walczyć w polskiej armii za sprawą układu Sikorski-Majski, w ramach którego gen. Anders zbierał żołnierzy polskich z ZSRR, jednak mój dziadek nie „zdążył na Andersa”. Pamiętam jego słowa, gdy rozmawialiśmy na te tematy taką starą, polską gwarą: „wnusiu ja nie zdążyłem na Andersa...”. Lecz rok później w ZSRR ogłoszono, że w Sielcach formują 1 Warszawską Dywizję Piechoty im. gen. Tadeusza Kościuszki. Mój dziadek usłyszawszy ten komunikat, niemal natychmiast zgłosił się do dywizji z łagru, ponieważ Rosjanie mieli obowiązek na to pozwolić. I tu się zaczyna historia drugiego munduru, który ja i moja rodzina mamy do dziś. Dziadek został natychmiast przyjęty do dywizji i 2 września po około 1–1,5 miesiącu szkolenia wysłani go na front w kierunku Wiaźmy wraz z mundurem, który przeszedł z dziadkiem szlak od Lenino aż po Łabę w Niemczech. To są najważniejsze jego bitwy:

LENINO 12–14 października 1943

PUŁAWY 1–4 sierpień 1944

PRAGA (WARSZAWSKA) 10–14 wrzesień 1944

WARSZAWA 16–17 stycznia 1945

JASTRÓW 3 lutego 1945

KOŁOBRZEG 8–18 marca 1945

GDYNIA-GDAŃSK 27 marca 1945

ROTHENBURG

FORSOWANIE NYSY 16 kwietnia 1945

GUSTEBIESE

FORSOWANIE ODRY 16–18 kwietnia 1945

BUDZISZYN 21–26 kwietnia 1945

DREZNO 26 kwietnia 1945

BERLIN 28 IV–3 maja 1945

Przez całą służbę w wojsku polskim na wschodzie w czasie II wojny światowej, towarzyszył mu ten mundur, na którym w kilku miejscach, w tym na patkach, widać zaschniętą krew przelaną nie tylko przez mojego dziadka, wielkiego bohatera i żywej historii, ale też wielu innych, którzy ją przelali dla naszej wolności.

Mundur ten jest ogromnie cenną pamiątką historyczną mamy go zachowanego w niemal idealnym stanie. Jest to kawałek żywej historii. Przeszedł w nim od Lenino aż po Bramę Branderburską, którą mój dziadek zdobywał. Otrzymał pięć medali i jeden order.

Na koniec chciałbym dodać od siebie, że ci żołnierze nie mieli wyboru, a chcieli bić się za Ojczyznę. Z tego co mówił mi dziadek (niedawno zmarł w wieku 94 lat, ale był do końca sprawny umysłowo) oni nie myśleli o tym pod czym sztandarem walczą. Liczyło się tylko to, że była to polska formacja, a nie to, że była ona sterowana przez Sowieców. Ci młodzi ludzie za 5 lat tego, co zrobili im faszyci i co przeżyli w łagrach, chcieli wyrwać się z tego koszmaru, a że mieli okazję bić się z Niemcami musieli z tego skorzystać. Jak mówił mój dziadek: „Lepiej umierać za Ojczyznę na polu walki z honorem niż jak ludzki śmieć w łagrze”. Dla mnie opowieści dziadka i jego mundur mają ogromną wartość historyczną i sentymentalną. Interesuję się historią II wojny światowej i zawsze z chęcią słuchałem wspomnień z tamtych czasów.



**Franciszek Bereśniewicz**

Szkola Podstawowa Nr 1 w Choszcznie



Najcenniejszą pamiątką, która znajduje się w moim rodzinnym archiwum jest książeczka pracy mojej prababci ze strony mamy, Eleonory Grzywna. Wydana została przez urzędników III Rzeszy. Zachowała się do dziś w bardzo dobrym stanie, kompletna. Był to obowiązkowy dokument dla wszystkich cudzoziemców, pracujących na terenie Niemiec. Liczy trzydzieści

osiem stron. Na zielonej okładce widnieje orzeł Republiki Weimarskiej oraz swastyka – symbol nazistów. Są też duże napisy „Deutsches Reich” i „Arbeitsbuch für Ausländer”.

W książeczce znajduje się obowiązkowa dla obcokrajowców fotografia z numerem porządkowym pracownika, a także przedmowa – oczywiście w języku niemieckim. Są dane osobowe i liczne pieczęcie urzędowe. W dokumencie zapisano daty przybycia do obozu i jego opuszczenia, miejsce pobytu podczas wojny (nazwa majątku) oraz informacje dotyczące badań lekarskich. W tej pozycji nie dokonano jednak żadnego wpisu poza pieczęcią. Widnieje również adnotacja Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Szczecinie z datą rejestracji w powojennej Polsce.

Historię związaną z tą pamiątką przekazała mi moja zmarła trzy lata temu prababcia. Jej rodzice pochodzili z okolic Kutna, ale po I wojnie światowej przeprowadzili się do Drażna, wsi, która już nie istnieje. Znajdowała się ona w powiecie Słonim, na terenie dzisiejszej Białorusi.



Rodzina otrzymała majątek w zamian za udział w I wojnie światowej. Prababcia urodziła się właśnie tam w 1924 roku. W momencie wybuchu II wojny światowej miała zaledwie 15 lat. Zawsze wspominała, że jej marzeniem było zostać nauczycielką, ale czasy, w których żyła nie pozwoliły jej tego zrealizować. Żartowała więc, że córka i jej cztery wnuczki zrobiły to za nią.

W marcu 1943 roku do powiatu słonimskiego dotarły wojska hitlerowskie. Żołnierze zajęli majątki Polaków, właściciele zesłali do łagrow na daleką Syberię, zdrowych, młodych i bezdzietnych zabrano do obozów pracy na terenie III Rzeszy. Prababcia miała wówczas 19 lat, a jej narzeczony Feliks 24 lata. Aby uniknąć rozdzielenia, pradziadek wymyślił pewien fortel. Postanowił, że ukryją dokumenty prababci, a na listy niemieckie wpiszą się jako małżeństwo. Tym sposobem wspólnie trafili do Niemiec. Zostali zatrudnieni w majątku ziemskim Maleksberg w Negernbötel, w landzie Szlezwik-Holsztyn. Spędzili tam ponad trzy lata. Pradziadkowie początkowo oboje pracowali na roli. We wrześniu 1944 roku prababcia została przeniesiona do kuchni na stanowisko kucharki. W obozie wzięli potajemny ślub, tam też w 1944 roku urodziła się ich pierwsza córka.

Po wyzwoleniu obozu przez wojska alianckie pradziadkowie nie wiedzieli dokąd mają się udać. Nie mieli żadnych wieści od rodziny, a ich rodzinne domy na Wschodzie zostały splądrowane i zniszczone najpierw przez Niemców, a później przez Rosjan. Postanowili więc wyemigrować do Stanów Zjednoczonych. Nie mieli kontaktu ze swoją rodziną, nie wiedzieli dokąd mają wrócić. Na kilka tygodni przed wyjazdem dotarł do nich list z informacją, że rodzice i rodzeństwo prababci przyjechali ze Wschodu i osiedlili się we wsi Kolki. Wówczas dziadkowie porzucili pomysł wyjazdu do USA i przybyli do Polski. Zostali zarejestrowani przez PUR w Szczecinie dnia 20 lipca 1946 roku. Przez kilka lat mieszkali właśnie w Kolkach, w domu, który porzucili wyjeżdżający na Zachód Niemcy. Rodzina była liczna, ponieważ oprócz pradziadków i ich córki w gospodarstwie tym mieszkali również rodzice prababci, jej brat i siostra z rodzinami. Jak wspominała prababcia, miejsca było niewiele, ludzi sporo, a zapasy żywności przywiezione z Niemiec szybko się kurczyły. Dlatego też pradziadek postanowił poszukać innego mieszkania. W ten sposób trafili do Choszczna. Otrzymali dom przy ulicy Piastowskiej, ale zamienili się z inną rodziną. Wojna, emigracja i głód spowodowały, że marzeniem pradziadka było posiadanie domu z gospodarstwem. Jak mawiał: „Na kawałku ziemi i z krową nie będziemy głodować”.

Zamieszkali na dawnym Osiedlu Zachodnim, dzisiejszym Osiedlu 700-lecia, w poniemieckim domu, w którym urodziła się i wychowała moja mama, a jej rodzice mieszkają tam do dziś. Pradziadek pracował w ówczesnej Powiatowej Radzie. Zmarł nagle w wieku 70 lat, w roku 1989. Prababcia przez wiele lat zajmowała się domem i gospodarstwem. Dziadkowie mieli kilka hektarów ziemi, hodowali też zwierzęta. Gdy dzieci poszły do szkoły, prababcia podjęła pracę w mleczarni w Choszczynie, ale – jak mówiła – nie była to praca dla niej. Zajęła się więc pracą chałupniczą, robiła swetry na maszynie. Później pracowała w nieistniejącej już Szkole Podstawowej Nr 2 w Choszczynie, skąd przeszła na rentę, a później emeryturę. Dożyła aż 92 lat. Zmarła we śnie w październiku 2016 roku. Oboje pradziadkowie pochowani są na Cmentarzu Komunalnym w Choszczynie, w kwaterze F.

Książeczka wędrowała razem z prababcią z III Rzeszy do Polski. Przeleżała w wielu urzędach, by ostatecznie wrócić do właścicielki. Przed śmiercią prababcia przekazała ją moim rodzicom. Jest ona niezwykle i najcenniejszą dla nas pamiątką. To żywa lekcja historii, ale także pokory wobec życia i losu. Jednak wiąże się z nią nie tylko smutne sytuacje. Wspominając czasy wojny, prababcia opowiadała nam również zabawne przygody, jakie jej się przytrafiły w obozie. Wspominała wspaniałych ludzi, których tam poznała. To właśnie w obozie po raz pierwszy usłyszeli o tuszowanej przez lata zbrodni katyńskiej, o której opowiadał im świadek zdarzenia, zwany przez nich Dziaćko Żyd. Prababcia wspominała, że wszyscy uznali go wtedy za wariata.

Dzięki tej pamiątce poznałem nie tylko naszą polską historię wojenną, ale przede wszystkim historię moich pradziadków, żyjących w czasach dziwnych, czasami przerażających, ale na swój sposób wspaniałych.

### Oskar Hałuszko

Szkoła Podstawowa w Golczewie



Pewnego razu będąc w odwiedzinach u mojej prababci Ireny, otrzymałem w prezencie drewnianą skrzynkę, w której znajdował się ukryty skarb. Jako mały chłopiec często bawiłem się w piratów i marzyłem o znalezieniu cennego skarbu w postaci złotych dukatów, ale to co otrzymałem w wieku dwunastu lat z rąk babci okazało się dla mnie najcenniejsze. W skrzynce znajdowały się pamiątki po moim zmarłym pradziadku Stefanie. Były to medale, odznaczenia i nagrody, w których zapisana jest historia życia nie tylko mojego pradziadka, ale mojej rodziny i naszego narodu.

Pradziadek Stefan Kędziora urodził się 21 czerwca 1922 roku w Kanie, był synem Jana Kędziory i Marianny Kędziora z domu Grądkowska. Po II wojnie światowej wraz z rodzicami szukając swojego miejsca na ziemi osiedlił się w Paprotni w województwie zachodniopomorskim.

Ożenił się z prababcią Ireną Kniga urodzoną 14 listopada 1927 roku w Kuźnicy, córką Bronisława i Józefy Kniga.

Gdy wybuchła II wojna światowa został powołany do walki za Ojczyznę. Jako podporucznik Wojska Polskiego właściwie spełniał swoją powinność, nie szczędził sił ani zdrowia, wykazywał męstwo i odwagę w walce zbrojnej z najeźdźcami.

Na potwierdzenie powyższego w 1999 roku Prezes Rady Ministrów w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej utytułował pradziadka Weteranem Walk o Wolność i Niepodległość Ojczyzny. Patent jest wyrazem uhonorowania

ogromnych zasług i dokonań w walkach o wyzwolenie.

Przeglądając zawartość skrzynki moją uwagę przykuł medal z hasłem „Wyzwolenie” przedstawiający różę, tory kolejowe i drut kolczasty. Z metryczki wyczytałem, że 27 stycznia 1995 roku pradiadek Stefan za doznane cierpienia podczas pobytu w obozie koncentracyjnym został odznaczony medalem Maximilian-Kolbe-Werk, upamiętniającym wyzwolenie z obozowej niewoli. Pomimo ogromnych cierpień pradiadek był jednym z wielu, którzy wyrazili gotowość do pojednania i poprawy stosunków z Niemcami.

Zastanowiło mnie nazwisko Kolbe i postanowiłem poznać jego historię, dlaczego właśnie to nazwisko jest na odznaczeniu. Przeszukałem książki historyczne, i to co odnalazłem zawładnęło moim sercem.

28 maja 1941 roku Maksymilian Kolbe trafił do obozu koncentracyjnego w Auschwitz, gdzie otrzymał numer obozowy 16670. W obozie przydzielono go do komanda „Babice”, które pracowało przy wyrębie drzew i znoszeniu gałęzi. Poza tym pełnił on potajemnie posługę kapłańską dla współwięźniów, spowiadał, głosił kazania i ukradkiem sprawował msze święte.

Podczas apelu w obozie 29 lipca 1941 roku, który prowadził kierownik obozu Karl Fritzsch dobrowolnie wybrał śmierć głodową w zamian za skazanego współwięźnia Franciszka Gajownicza, który był w grupie 10 więźniów skazanych na śmierć, za ucieczkę z obozu jednego z więźniów. Po wojnie Franciszek Gajowniczek wobec świadków Franciszka Mazurkiewicza i Brata Ferdynanda Marii Kasza w Brzegu tak opisał to zdarzenie:

*W okresie żniw, w ostatnich dniach lipca 1941 roku, przy nadarzającej się sposobności, jeden z więźniów oświęcimskich z mojego bloku zbiegł. Jako represja za to, na wieczornym apelu nastąpiło dziesiątkowanie więźniów mojego bloku. Dziesięciu więźniów z mojego bloku wyznaczono na śmierć. Dowódca obozu Fritzsch w towarzystwie Rapportführera Palitzscha dokonał selekcji. Nieszczęśliwy los padł również na mnie. Ze słowami:*

– „Ach, jak żał mi żony i dzieci, które osierocam” udałem się na koniec bloku. Miałem iść do celi śmierci głodowej.

*Te słowa usłyszał o. Maksymilian Kolbe, franciszkanin z Niepokalanowa. Wyszedł z szeregów, zbliżył się do Lagerführera Fritzscha i usiłował ucałować jego rękę.*

*Fritzsch zapytał tłumacza:*

– „Was wunscht dieses polnische Schwein?” (pol. Czego chce ta polska świnia?)  
O. Maksymilian Kolbe, wskazując ręką na mnie wyraził swoją chęć pójścia za mnie na śmierć.

*Lagerführer Fritzsch ruchem ręki i słowem:*

– „Heraus” (pol. wyjść) – *każał mi wystąpić z szeregu skazańców, a moje miejsce zajął o. Maksymilian Kolbe.*

*Za chwilę odprowadzono ich do celi śmierci, a nam kazano rozjeść się na bloki. W tej chwili trudno mi było uświadomić sobie ogrom wrażenia, jaki ogarnął mnie; ja, skazaniec mam żyć dalej, a ktoś chętnie i dobrowolnie ofiaruje swoje życie za mnie. Czy to sen, czy rzecz ywistość?... Wśród kolegów wspólnej niedoli oświęcimskiej dał się słyszeć jeden głos podziwu heroicznego poświęcenia życia tego kapłana za mnie.*

Świadkiem tego zdarzenia był też więzień tego bloku Michał Micherdziński. W późniejszych zeznaniach tak z kolei opisał on to zdarzenie:

*O. Maksymilian szedł w więziennym pasiaku, z miską u boku, w drewniakach. Nie szedł jak żebrak, ani też jak bohater. Szedł jak człowiek świadomy wielkiej misji. Stał spokojnie przed oficerami. Cała świta, która dokonywała selekcji, wszyscy stali i patrzyli po sobie, nie wiedzieli, co robić. Wreszcie opamiętał się kierownik obozu i wściekły, zapytał swojego zastępcę:*

– „Was will dieses polnische Schwein?” (pol. Czego chce ta polska świnia?).

*Zaczęli szukać tłumacza, ale okazało się, że tłumacz jest zbędny.*

O. Maksymilian w postawie na baczność odpowiedział spokojnie po niemiecku:

– „Ich will sterben für ihn” (pol. Chcę umrzeć za niego) i wskazał lewą ręką na stojącego obok Gajownicza.

*Padło kolejne pytanie:*

– „Wer bist du?” (pol. Kim jesteś?)

– „Ich bin ein polnischer katholischer Priester” (pol. Jestem polskim księdzem katolickim.)

O. Maksymilian, mimo iż wiedział, jak Niemcy traktują polskich księży, nie bał się przyznać do swojego kapłaństwa. Panowała wtedy nieznośna cisza. Każda sekunda wydawała się trwać wieki. Wreszcie stało się coś, czego do dzisiaj nie mogą zrozumieć ani Niemcy, ani więźniowie. Kapitan SS, który zauszę zwracał się do więźniów przez wulgarne „ty”, zwrócił się do o. Maksymiliana per „pan”:

– „Warum wollen Sie für ihn sterben?” (pol. Dlaczego pan chce umrzeć za niego?)

O. Maksymilian odpowiedział:

– „Er hat eine Frau und Kinder” (pol. On ma żonę i dzieci.)

*Po chwili esesman powiedział:*

– „Gut” (pol. Dobrze).

Ojciec Kolbe zmarł 14 sierpnia 1941 roku zabity zastrzykiem trucizny – fenolu przez funkcjonariusza obozowego, kierownika izby chorych Hansa Bocka o godz. 12.50.

Jego ciało zostało spalone w obozowym krematorium. Natomiast 25 października 1944 roku Franciszek Gajowniczek został przeniesiony do obozu koncentracyjnego KL Sachsenhausen, gdzie doczekał się wyzwolenia przez wojsko amerykańskie.

Podsumowując życie i postępowanie Maksymiliana Kolbe przytoczę słowa wypowiedziane przez Jana Pawła II 10 października 1982 roku podczas uroczystej mszy kanonizacyjnej na placu świętego Piotra w Rzymie:

*Ojciec Maksymilian Kolbe, więzień obozowy, upomniał się w obozie śmierci o prawo do życia niewinnego człowieka – jednego z milionów. Ten człowiek, Franciszek Gajowniczek żyje po dzień dzisiejszy, i jest wśród nas obecny. Ojciec Kolbe upomniał się o prawo do życia, wyrażając gotowość pójścia na śmierć w jego zastępstwie, ponieważ tamten był ojcem rodziny i jego życie potrzebne było najbliższym. Ojciec Maksymilian Maria Kolbe potwierdził w ten sposób prawo Stwórcy do życia niewinnego człowieka, dał świadectwo Chrystusowi i miłości.*

W historii medalu wpisane jest życie mojego pradziadka i Polaków, którzy byli gotowi tak jak o. Maksymilian oddać życie za naszą wolność. To przeszłość ma dla mnie odpowiedź na pytanie kim jestem, gdzie żyję. Postawa o. Maksymiliana Marii Kolbe jak również mojego przodka pozwalała na życie przeszłości w nas. Dzięki poznanej historii mogę śmiało stwierdzić, że jestem przodkiem wielkiego człowieka, który spełniając swoją żołnierską powinność walczył o wolność i niepodległość Ojczyzny.

Moi rodzice od początku mojego życia uczą mnie jak kochać ludzi i szanować dorobek pokoleń. Uświadamiają mi, że należy szanować przeszłość, aby mieć szacunek terażniejszości oraz ocalać od zapomnienia to, co najcenniejsze historię rodziny i ojczyzny. W przyszłości mój skarb przekażę swoim dzieciom i będę się starał uczyć ich tej miłości.

## Szymon Tylman

Szkoła Podstawowa nr 3 w Dębnie

Kiedy zgłosiłem się do udziału w konkursie nie wiedziałem, czy w moim domu mam jakąkolwiek pamiątkę rodzinną, z którą będzie wiązała się interesująca historia. Zapytałem rodziców czy przechowują jakieś interesujące przedmioty. Wtedy mój ojciec pokazał mi dwa bardzo stare dokumenty o nazwie „Karta Ewakuacyjna” i opowiedział historię z nimi związaną.

Dokumenty te są przechowywane przez mojego ojca w specjalnym zbiorze w foliowych torebkach. Ojciec powiedział mi, że należały do jego dziadka i babci, a moich pradziadków, których nigdy nie znałem. Wiedziałem tylko, że mój pradziadek miał na imię Michał, a prababcia Bronisława, oboje urodzili się w 1910 roku i najpierw mieszkali we Lwowie, a następnie przyjechali do Dębna.

Obie karty ewakuacyjne są bardzo stare, papier, na którym je sporządzono teraz jest żółty, a ich brzegi są postrzępione. Druki zostały sporządzone w języku polskim i rosyjskim, część tych dokumentów została uzupełniona ręcznie.







W okresie przed II wojną światową Lwów był trzecim co do liczby ludności miastem Polski, „zamieszkiwało go 63,5% Polaków, 24,1% Żydów, 7,8% Ukraińców, 3,5% Rusinów i 0,8% Niemców”.

Po klęsce wrześniowej 1939 roku miasto zostało zajęte przez Armię Czerwoną. Rosjanie złamali warunki kapitulacji i aresztowali większość polskich oficerów broniących miasta, którzy zostali przewiezieni do obozu w Starobielsku, a następnie zamordowani przez rosyjską służbę bezpieczeństwa, którą nazywano NKWD. Taki sam los spotkał lwowskich policjantów, którzy zostali rozstrzelani przez Rosjan. Po zajęciu miasta przez Niemców w 1941 roku dopuścili się oni masowych egzekucji ludności żydowskiej, a także zamordowano 25 polskich profesorów. Wtedy Niemcy utworzyli w mieście ukraińską policję pomocniczą.

W 1944 roku Lwów został wyzwolony przez Armię Czerwoną i współdziałającą z nią Armię Krajową. W tym okresie w okolicach Lwowa nasiliły się ataki ukraińskie na ludność polską. Ukraińcy, tak samo jak Polacy, chcieli zatrzymać dla siebie Lwów. Moja prababcia mówiła, że Lwów miał być stolicą Ukrainy.

Na konferencji w Jalcie w 1945 roku Stalin przesądził los miasta, które miało stać się częścią Związku Radzieckiego. W maju 1945 roku przystąpiono do akcji przesiedleńczej wydając polskim mieszkańcom karty ewakuacyjne. Jednocześnie do Lwowa napływała ludność ze wschodu Związku Radzieckiego. Początkowo Polacy stawiali opór, nie pobierali kart ewakuacyjnych. Potem Rosjanie zamykali polskie instytucje, kościoły, dochodziło do aresztowań i do spięć pomiędzy Polakami a ludnością napływową.

Od maja 1945 roku do czerwca 1946 roku działała Polska Komisja Ewakuacyjna, która wydawała karty ewakuacyjne, ewidencjonowała mienie wyjeżdżających. Ludność oraz mienie ładowano do osobowych wagonów. Transporty kierowano celowo w trzech różnych kierunkach południowym (Bytom, Gliwice, Opole, Wrocław, Kłodzko), środkowym w kierunku Szczecina i północnym (Pomorze, Mazury). Chodziło o rozproszenie lwowian. „W wyniku akcji przesiedleńczej ze Lwowa wysiedlono 98.865 Polaków, 3.349 Żydów i 2.232 przedstawicieli innych narodowości. We Lwowie pozostało około 12 tysięcy Polaków”. Skoro moim pradiadkom wydano karty ewakuacyjne w maju 1946 roku, to byli oni jednymi z ostatnich mieszkańców opuszczających miasto.

Historia związana z kartami ewakuacyjnymi to jednocześnie historia ludzi brutalnie wyrzuconych ze swoich domów. Gdyby moi pradiadkowie

nie przyjęli kart ewakuacyjnych wówczas życie mojej rodziny, a tym samym i moje potoczyłoby się zupełnie inaczej.

Dom, który opuścili moi pradiadkowie już nie istnieje, został zburzony. Miasto Lwów, z którego wyjechali moi pradiadkowie, już nie jest takie samo, pozostały tylko wspomnienia z tamtych czasów przekazywane z pokolenia na pokolenie przez członków mojej rodziny.

Uważam, że moje pokolenie ma szczęście żyć w czasie bez wojny. Ani ja, ani moje koleżanki i koledzy, nie musimy bronić swojego prawa do bycia Polakiem i mieszkania w Polsce.

Przechowywane w moim domu karty ewakuacyjne są ważną pamiętką rodzinną. Dzięki tym dokumentom dowiedziałem się o pochodzeniu mojej rodziny. Dokumenty te spowodowały, że zainteresowałem się też historią rodzinnego miasta moich pradiadków. Mogłem też prześledzić losy mojej rodziny po zakończeniu wojny.

Miłosz Pieškiewicz

Szkoła Podstawowa nr 1 w Choszczynie



Wbrew pozorom nawet w dzisiejszych, nowoczesnych czasach posiadanie rodzinnej pamiątki jest czymś ważnym i potrzebnym. Pamiątka rodzinna to przedmiot, który „przechodzi” z pokolenia na pokolenie i jest najbardziej szanowaną i bezcenną rzeczą w rodzinie. Również moja posiada dwie bardzo cenne pamiątki. **123507** to pierwsza z nich. Ciąg tych cyfr wiąże się ze wspomnieniami mojego pradziadka, który przez to co przeżył, stał się ikoną całej mojej rodziny. Cyfry te to numer, który pradziadek miał wytatuowany na lewym przedramieniu świadczący o tym, że był więźniem Obozu Koncentracyjnego w Auschwitz.

Nie można tej pamiątki ani wspomnień pradziadka, które moja babcia latem 1995 roku przelała na papier, nazwać rzeczą. Są fundamentem, który łączy nawet najdalszych członków mojej rodziny. Babcia opowiadała mi, że siadali pod wielką jabłonią i jej tato mówił o tej prawdziwej swojej wojennej historii, którą każdy w mojej rodzinie zna bardzo dobrze:

„Nazywam się Jan Nowak, urodziłem się 23 grudnia 1927 roku w Różannie, w małej wiosce pod Warszawą. Opowiem o jednych z najtrudniejszych chwil w moim życiu, o których jest ciężko zapomnieć. Gdy miałem 14 lat moje życie płynęło beztrudnie. Nikomu nawet nie śniło się, że lada chwila do mojej wioski wtargną wojska niemieckie i moje życie zamieni się w piekło.

W mojej wiosce poszukiwano człowieka, który nazywał się tak jak ja – Jan Nowak. Człowiek ten poszukiwany był za kradzież. Różnił nas przede wszystkim wiek, ja byłem nastolatkiem, a on był dorosłym mężczyzną. W Różannie był soltys, który nie przepadał za moją rodziną, na każdym kroku chciał nam utrudnić życie i gdy dowiedział się o poszukiwaniach zbiega, doniósł Niemcom na mnie, że to ja jestem tym, kogo poszukują. Przecież ja byłem małym chłopcem, który pasł krowy na łąkach, a nie złodziejem. Niemcom nie trzeba było wiele, by przyjechać do naszego domu. Tego też samego dnia byli u nas. Aresztowali mnie, mojego ojca

i brata Władka. Gdyby pozostali z rodziny byli obecni, zabraliby nas wszystkich. Tragedia naszej rodziny właśnie się zaczęła. Gdy zapakowali naszą trójkę do transportu, ruszyliśmy w nieznaną nam drogę. Mojemu bratu udało się wyskoczyć z samochodu, którym nas wieźli, lecz długo nie pocieszył się wolnością. Żołnierze niemieccy zauważyli Władka, ruszyli za nim w pościg i bez skrupułów zastrzelili. Zostałem tylko ja i mój tato.

Gdy znaleźliśmy się w „innym świecie”, jakim był obóz Auschwitz, zaczął się największy koszmar w moim życiu. Po przekroczeniu bramy obozu zostało nam odebrane wszystko, co mieliśmy. Staliśmy przed Niemcami nadzy i obdarci z godności. **Każdy z nas otrzymał numer, straciliśmy człowieczeństwo.** Dla Niemców staliśmy się cyframi, nic nieznaczącymi w ich kartotekach. Mój numer to 123507, został mi on wytatuowany na rękę i został ze mną już do końca moich dni, nie pozwalając mi o tym zapomnieć.

Po kilku dniach rozłączono mnie z ojcem. Trafiłem do obozu w Brzezince, obozu dla dzieci. Byłem tam przez prawie pół roku. Każdego dnia myślałem o rodzinie, tęskniłem za ciepłem rodzinnym i miłością. W obozie tym wykonywaliśmy trochę lżejszą pracę, niż dorośli. Mimo obowiązków, jakie panowały w obozie, każdego dnia modliłem się, bym to nie ja trafił do laboratorium, w którym przeprowadzano na dzieciach doświadczenia medyczne i o to, abym jak najszybciej wrócił do mamy, aby poczuć się znowu bezpiecznie. Przez ten czas napatrzyłem się na cierpienie i krzywdę moich kolegów.

Po pewnym czasie trafiłem z powrotem do Auschwitz, to pozwoliło mi na spotkanie potajemne z moim tatą. Dzięki temu poczułem się trochę lepiej. W obozie tym był jeden gestapowiec, który bardzo mnie polubił, dawał mi na obiad jednego ziemniaka więcej, to o kromkę chleba więcej, a że ja byłem dzieckiem, nie potrzebowałem tak dużo jedzenia. Zbierałem je i co jakiś czas zanosilem tacie, bo on ciężko pracował w oborze przy bydło. Pewnego dnia ucieszony szedłem spotkać się z ojcem, niosłem mu jedzenie, lecz jeden z hitlerowców złapał mnie. Gdy tłumaczyłem mu, że chcę tylko na chwilę zobaczyć tatę, on zabrał mi to, co niosłem i pokazał tatę rozstrzelanego, leżącego w korycie na jedzenie dla zwierząt. To odebrało mi całą nadzieję. Za ten zwykły odruch człowieczeństwa trafiłem do karceru, w którym było ciemno, zimno i wilgotno.



Po kilku dniach wypuszczono mnie i przydzielono do prac budowlanych.

Podczas jednego z codziennych apeli, na którym kazano odliczać „co czwarty występ” trafiło na mnie i wyszedłem przed wszystkich. Esesman, który okazywał mi życzliwość, cofnął mnie i wypchnął do przodu chłopca, który był ode mnie młodszy i był Żydem. Już zawsze towarzyszyły mi wyrzuty sumienia, że zginął przeze mnie człowiek, mimo że nie byłem temu winny.

Każdy kolejny dzień przynosił dużo cierpienia i bólu. Gdy wracałem z pracy do bloku, w którym spałem, znalazłem zawinięte w papier złoto. Pomyślałem, że gdy oddam je jednemu z „kapo”, będę mógł wrócić do domu. Natychmiast pobiegłem do esesmana, którego zobaczyłem w oddali i podałem mu zawiniątko i wytłumaczyłem, w jakich okolicznościach je znalazłem. Ten zaś mi nie uwierzył i po raz kolejny trafiłem do karceru, w którym otrzymałem karę w postaci batów na gołą pupę. Zbito mnie tak, że gdy odwróciłem głowę, widziałem bardzo spuchnięte i zakrwawione pośladki.

Następnym miejscem, do którego trafiłem, była fabryka samolotów w Niemczech, niedaleko Dachau. Zajmowałem się tam składaniem silników. Pewnego dnia, gdy upadła mi z przepracowania jedna część, Niemiec podszedł do mnie, przestrzelił mi nogę na wysokości piszczeli. Nie strzelił mi w kolano, ponieważ nie byłbym już zdolny do pracy. Po tym incydencie dali mi 3 dni na powrót do zdrowia i z powrotem do obowiązków.

Znowu przewieziono mnie do Auschwitz. Co jakiś czas robili nam pobudkę w środku nocy i wysyłali na dziedziniec w największy mróz w samych pasiakach, a gdy nie zdążyłeś nałożyć butów, musiałeś iść na bosy.

W święta Bożego Narodzenia w prezencie od gestapo dostawaliśmy ciepłą zupę z brukwi, a do tego dwa ziemniaki w mundurkach. Miał to być dla nas rarytas, choć gdy patrzyło się w stronę dziedzińców, odechciewało się wszystkiego. Niemcy robili z ludzi bombki na choinkę. Na podwórzu było wielkie drzewo, a na nim wisieli ludzie, którzy rano na apelu wystąpili i mieli tego samego dnia iść do komory gazowej. Wieszano ich za nogi głową w dół i kazali się bujać. Gdy Niemcom się nudziło, kazali wyjść z bloków i chodzić po dziedzińcu, a oni z okien strzelali do nas. Nikt nie rozumiał, dlaczego są tacy bezduszni.

Mimo wszystko najlepiej wspominam dzień, w którym dostałem paczkę od mamy. Gdy ktoś otrzymywał przesyłkę od rodziny, była sprawdzana pod każdym kątem. Jeśli coś żołnierzom się nie spodobało, zarówno osoba,

która paczkę otrzymać miała, jak i jej rodzina została rozstrzelana. Ja tego dnia dostałem ciepłą, puchową kurtkę, trochę ubrań i bochenek chleba, który został pocięty w kawalki przez esesmanów, tylko po to, by sprawdzić, czy jest w nim cokolwiek schowane. Miałem to szczęście, że mój bochenek niedokładnie był pocięty, bo znalazłem w nim ukryty list od mojej mamy. Napisała do mnie, że umarła moja siostra Marysia na szkarlatynę, że bardzo tęskni i pytała, co u mnie. Bardzo płakałem z tęsknoty za rodziną i z żalu za moją ukochaną siostrą. Ten płacz przeplatany był łzami szczęścia, gdyż wiedziałem, co się z nimi dzieje, i myśl, że oni na mnie czekają, dodawała mi odwagi i siły, by przetrwać w obozie zagłady. Pewien Żyd, który mnie znalazł i bardzo polubił, zapytał: „Jasiu dlaczego płaczesz, powiedz, nie wydam Cię, obiecuję”. Opowiedziałem mu o wszystkim, jak to dziecko, a on powiedział, że napisze w moim imieniu list do mamy – słowa dotrzymał. Ta wiadomość podniosła mnie na duchu, uwierzyłem, że są jeszcze wśród mnie ludzie, do których jeszcze mogę zwrócić się o pomoc. Moja mama, choć nie znała języka niemieckiego, szukała w wiosce osoby, która by jej to przetłumaczyła. Tak też się stało, przeczytała, że tata nie żyje, że jest mi ciężko, ale jestem silny i że pomaga mi Żyd (strażnik więzienny), który mnie lubi.

Pewnego dnia przenieśli mnie do karceru, w którym był Józef – ksiądz katolicki, człowiek o zawodzie boksera – Franek i dwóch innych mężczyzn. Dni były ciężkie, lecz się nie poddałem, aż w końcu nadeszła upragniona chwila, na którą czekałem – wyzwolenie. Razem ze mną zostali wyzwoleni przyjaciele z karceru. Uciekaliśmy z ogromną w sercu radością, że jesteśmy wolni. Przeżyłem tylko ja, ksiądz i bokser. Spieszyliśmy na pociąg, lecz się spóźniliśmy, Józef i Franek mieli niedaleko do domu. Kazalem im iść, a ja chciałem czekać do następnego dnia na kolejny pociąg. Nagle nadszedł konduktor i mi pomógł, zabrał mnie do swojego domu, nakarmił i przenocował. Na następny dzień wpełznął i ukrył mnie w pociągu towarowym. Wysiadłem w Warszawie, stamtąd przepłynąłem rzekę, która wiodła prosto do mojej wioski Różanny. Następnie szedłem obrzeżami pól i bagien, bo doskonale znałem „swoje tereny”. Moja mama czekała przed domem, ponieważ czuła, że wracam. Łzy same zaczęły płynąć po naszych twarzach. Ścisnąłem mamusię i nie chciałem jej puścić. Tak właśnie zakończyła się ta moja straszna historia...”

Pięćdziesiąt lat później, pod dom pradziadka podjechała czarna limuzyna. Wysiedli z niej czterej mężczyźni i po odczytaniu pięknego listu wręczyli pradziadkowi pamiątkowy medal wykuty w związku z wyzwoleniem Auschwitz. Okrągły kawałek mosiądzu przedstawiał

na maleńkiej powierzchni tory kolejowe, drut kolczasty i różę, które stały się symbolem historii pradziadka. Napis „Wyzwolenie” i wyryte „50 lat”, to – jak mój pradziadek powiedział – pamięć o tych, którzy tam byli i wielkie zwycięstwo nad okrucieństwem wobec człowieka. Medal ten długo mój pradziadek przewracał w dłoniach i to właśnie wtedy postanowił wspólnie z babcią spisać swoje bolesne przeżycia z pobytu w obozie koncentracyjnym. Wspomnienia pradziadka, numer wyryty nie tylko na dłoni, ale i w jego sercu, i medal za przetrwanie w obozie zagłady, będą w mojej rodzinie do końca jej istnienia. Już teraz obiecałem sobie, że jak tylko będę miał swoją rodzinę, wspólnie w święta będziemy siadać, czytać słowa dziadka, oglądać stare fotografie i medal.



### Kamil Gajewski

Szkoła Podstawowa nr 1 im. Marynarki Wojennej  
w Świnoujściu

#### *Ukryta pamiątka*



Mój pradziadek Antoni Jędrychowski, dziadek mojej mamy przeżył dwie wojny światowe. Historia życia jego i prababci Stefanii mogłaby służyć na scenariusz filmowy. Pradziadek Antoni i prababcia Stefania nie żyją, pradziadka nie znała nawet moja mama, a prababcia Stefania umarła, gdy mama miała 5 lat. Jakimś cudem jednak odnalazła nas daleka ciotka Idalia, która teraz ma już ponad 80 lat i mieszka w Łodzi, to z jej listów znamy historie rodzinne. Ciotka też zrobiła drzewo genealogiczne naszej rodziny. Reszta informacji pochodzi z opowiadań przekazywanych w rodzinie i szczątków dokumentów jakie nam zostały.

W domu mamy duplikat Legitymacji numer 1771 plutonowego Jędrychowskiego Antoniego z 2. Kompanii Mostowej, mojego pradziadka. Pradziadek był uprawniony do noszenia odznaki orderu *Virtuti Militari*, został on mu nadany przez Wodza Naczelnego Marszałka Józefa Piłsudskiego Dekretem z dnia 19 września 1922 roku. W domu mamy także duplikat legitymacji z dnia 1 maja 1933 roku.

No tak, ale dlaczego duplikat?

Pradziadek Antoni walczył w wojnie polsko-bolszewickiej w latach 1919–1921 o odzyskanie niepodległości naszego kraju. Za odwagę, jaką wykazał się w tej wojnie, został odznaczony orderem *Virtuti Militari*. Prababcia Stefania opowiadała mojemu dziadkowi, a dziadek mojej mamie, że jej mąż ryzykując własne życie uratował kilku kolegów. Order nadawano właśnie za takie bohaterskie czyny. Także nagrodą za to było otrzymanie później gospodarstwa.

Pradziadkowie zamieszkali na terenach obecnej Ukrainy, tam dostali gospodarstwo. Krótko tam mieszkali i krótko cieszyli się spokojem. Wkrótce musieli uciekać i pozostawić cały dobytek. Na terenach tych zaczęły się napady i mordy na ludności polskiej dokonywane przez Ukraińców. Gdyby w domu pradziadka Antoniego lub przy nim ktoś znalazł krzyż

Virtuti Militari cała rodzina pradziadka zginęłaby.

W nocy z 4 na 5 października 1943 roku banderowcy napadli na kilka domów w miejscowości, w której mieszkał pradziadek i zamordowali kilkanaście osób. Pradziadek i prababcia wiedzieli, że też muszą uciekać, zabrali tylko najpotrzebniejsze rzeczy z domu, choć ciotka Idalia w listach dziwi się, że zdołali też zabrać maszynę do szycia. Myślę, że to dlatego, że prababcia Stefania uwielbiała szyc, a przy tym śpiewać. Order i legitymację dziadek zakopał pod dębem rosnącym w pobliżu gospodarstwa. Tylko pradziadkowie wiedzieli pod którym. Myśleli, że kiedyś wrócą do swojego domu. Nigdy jednak nie wrócili. Granice naszego państwa przesunęły się tak, że ich dom został na wschodzie.

Tam gdzieś pod dębem jest oryginalna legitymacja pradziadka Antoniego i tam jest jego order. Wiem, że nigdy nie zobaczę tych pamiątek, ale ta ich tajemnica powoduje, że tym bardziej mnie fascynują.

### Jakub Baszkowski

Zespół Szkół Elektryczno-Elektronicznych  
im. prof. Maksymiliana Tytusa Hubera w Szczecinie

**Adolf Masłowski.** Człowiek ten jeszcze kilka lat temu był dla mnie niemalże całkowicie obcy. Wiedziałem o nim tylko tyle, że był ojcem mojego dziadka i moim pradziadkiem, ale parę lat temu to się na szczęście zmieniło. Mój dziadek był nauczyciel historii oraz wielki jej pasjonat, rozbudził we mnie chęć poznania prawdy o moim przodku. Dzięki niemu odnalazłem dawno zapomniane pamiątki po moim pradziadku: legitymacje odznak, otrzymanych przez niego podczas służby w Armii gen. Andersa oraz jego mundur z tamtego okresu. Dowiedziałem się jak mój pradziadek trafił do Wojska Polskiego, poznałem drogę jaką przebył wraz z II Korpusem Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, poznałem lepiej bitwy, w których brał udział oraz jakie były jego losy po zakończeniu II wojny światowej. Ale na tym odkryciu nie skorzystałem tylko ja, ponieważ postanowiłem udostępnić szkole tę wiedzę oraz pamiątki jakie odszukałem, aby po wielu latach mogły znów ujrzeć światło dzienne.

Cała historia zaczęła się podczas jednego z rodzinnych obiadów, podczas którego dziadek zapytał mnie o tematy poruszane na lekcjach historii w szkole. Odparłem, że zaczynamy właśnie omawiać tematy związane z II wojną światową. Wtedy dziadek zaczął wspominać **swego ojca.**

Mój pradziadek urodził się w 14 września 1909 roku w okolicach Borszowa (tereny dzisiejszej Ukrainy). Skończył tam pięć klas szkoły podstawowej i został kowalem. Na początku II wojny światowej trafił do obozu jenieckiego w Krzywym Rogu, gdzie pracował przy wydobyciu złota. Kiedy gen. Anders zaczął formować swoją armię, wstąpił do niej i po przebyciu szkolenia na „puszkarza” (mechanika dział), wyruszył z gen. Andersem „Szlakiem Nadziei” przez ZSRR, Iran, Irak, Palestynę, Egipt, aż do Włoch gdzie walczył pod Monte Cassino i Ankoną. Po rozwiązaniu II Korpusu Polskiego powrócił do Polski, jako andersowiec i wróg klasy robotniczej. Zamieszkał wraz ze swoją rodziną w Różańsku (woj. zachodniopomorskie), gdzie pracował w Gminnym Ośrodku Maszynowym, jako kowal. W późniejszych latach przeniósł się do pobliskiej wsi, gdzie rozpoczął pracę w Państwowym Gospodarstwie Rolnym

oraz wstąpił do Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, awansując w ten sposób na stopień sierżanta. Władze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej nie ułatwiały życia jemu ani jego rodzinie, jako wróg klasy robotniczej był aresztowany i zamykany w placówkach Milicji Obywatelskiej, podczas uroczystości państwowych takich jak Święto Pracy (1 maja) oraz Narodowe Święto Odrodzenia Polski (22 lipca). W późniejszych latach, w których nastąpiło zmniejszenie napięcia stalinizmu w Polsce był tylko „proszony” o niewychodzenie z domu przez cały dzień oraz niepokazywanie się innym ludziom. Zmarł 9 stycznia 1981 roku w barlineckim szpitalu.

Po wysłuchaniu tej opowieści zacząłem zadawać wiele pytań dotyczących pamiątek po pradziadku, bo nie chciałem, żeby **został** tylko imieniem i nazwiskiem, ale **by** stał się człowiekiem, który nie tylko **był** naszym krewnym, nie tylko żył w bardzo trudnych dla wszystkich czasach, ale też walczył o lepsze życie przyszłych pokoleń. Polaków i Europejczyków.

Moje nieustanne pytania przyniosły efekt. Odnalazłem mundur dawno przez wszystkich zapomniany, schowany w piwnicy i zamknięty w szafie razem z innymi ubraniami. Na szczęście mundur był w całości. Co prawda był zakurzony i nadjedzony przez mole, ale poza tym nic złego się z nim nie stało **w czasie gdy był zdany na pastwę losu oraz moli, żerujących w szafie**. W kieszeniach znajdowały się legitymacje odznak.

Moje poszukiwania przyniosły skutek. Odnalazłem cenne pamiątki rodzinne, ale i historyczne. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że coś jeszcze powinienem z tym zrobić, powinienem uratować legitymacje i mundur od kolejnych lat w szafie. Tylko nie miałem pojęcia jak to zrobić. Tu z pomocą pojawił się mój nauczyciel historii w Zespole Szkół Elektryczno-Elektronicznych, pan Robert Adamowicz. Gdy opowiedziałem mu o swoim odkryciu zaproponował, abym podzielił się nim z kolegami ze szkoły. Stworzył projekt gabloty poświęconej mojemu pradziadkowi oraz II Korpusowi Polskiemu PSZ. Aby to zrobić, potrzebowałem jeszcze własnej, udokumentowanej historii rodzinnej. Dlatego postanowiłem ustalić jakie odznaczenia nosił mój pradziadek. Niestety nie zachował się żaden z jego medali, ale na szczęście zachowały się baretki umieszczone na mundurze. Rozpocząłem, więc żmudny proces poszukiwania odznaczeń, odpowiadającym baretkom z munduru.

Nie było to łatwe. Pomogła mi w nim książka pt.: „Wojsko Polskie 1939–1945. Barwa i broń” autorstwa Stanisława Komornickiego. Dowiedziałem się z niej, że mundur znaleziony przeze mnie to Battle Dress wzór 40, wprowadzony w 1942 roku. Na bluzie znajdują się dwie

odznaki. Odznaka rozpoznawcza – wykonana w formie tarczy, na której znajduje się warszawska syrenka na czerwonym tle oraz odznaka specjalna – otrzymana przez polskich żołnierzy od generała 8 Armii Brytyjskiej po bitwie pod Monte Cassino. Jest ona wykonana w formie tarczy krzyżowców umieszczonej na niebieskim tle. Poza nimi na przedzie bluzy znajduje się odznaka pamiątkowa II KP. Posiada ona formę tarczy. W jej górnej części znajduje się syrenka warszawska, po jej bokach znajdują się gałązki laurowe. W dolnej części widnieje napis: „2 Korpus Polski”, a na środku znajduje się tarcza krzyżowców. Odznaka łączy w sobie znaki rozpoznawcze 8 Armii Brytyjskiej i 2KP.



W kieszeni munduru znalazłem również legitymację tejże odznaki. Podczas poszukiwań odznaczeń odpowiadających baretkom na mundurze natknąłem się na takie medale jak: Medal Wojska, Krzyż Zasługi z Mieczami, Gwiazda za wojnę 1939–1945 i Gwiazda Włoch (obydwie odznaki potwierdzone są legitymacją, uprawniającą do ich noszenia) oraz Krzyż Pamiątkowy Monte Cassino (również potwierdzony legitymacją).

Gdy w końcu zabrałem wszystkie materiały jakie udało mi się zdobyć, okazało się, że mam ich wystarczająco dużo, aby wykonać prezentację. Zanim wszedłem do szkoły, aby pokazać je nauczycielowi. On jako osoba doświadczona w obchodzeniu się z takimi pamiątkami,

zabezpieczył mundur przed dalszą degradacją, a wszystkie materiały umieściłem w specjalnie wybranej gablocie wraz z historią mojego pradziadka oraz krótkim opisem „Szlaku Nadziei”, który przebył II Korpus PSZ.

Dzięki pomocy mojego dziadka oraz nauczyciela historii z ZSEE, znalezione przeze mnie pamiątki mogą cieszyć oczy uczniów przychodzących do mojej szkoły i w ciekawy sposób opowiadać historię zwykłego żołnierza i niezwykłego człowieka jakim był mój pradziadek.



Aleksandra Szewczuk

Publiczna Szkoła Podstawowa w Bezzreczu

### *Pamiętniki Pradziadka Jana Szewczuka*



Jedną z największych pamiątek, jakie posiada moja rodzina, są pamiętniki napisane przez mojego pradziadka Jana Szewczuka. Mimo, iż powstały one w latach 1988–1995, opisane w nich zostały losy samego autora,

a także rodziny Szewczuków w okresie od 1919 do 1995 roku. Odnajdujemy w nich wiele wydarzeń historycznych z okresu międzywojennego, II wojny światowej, przez czasy Polski Rzeczypospolitej Ludowej, niemal aż do ostatnich lat XX wieku.

Pamiętniki zostały sporządzone w dwóch odrębnie pisanych wersjach. Pierwsza, składająca się z trzech grubych zeszytów, powstała w latach 1988–1991 i obejmuje okres od 1919 do 1991 roku. W następnych latach, ze względu na problemy autora ze wzrokiem, nastąpiła przerwa w zapisywaniu wspomnień. Po udanej operacji w 1994 roku powstała druga, rozszerzona wersja pamiętników obejmująca lata od 1919 do 1995. Całość stanowi jeden tom składający się z 385 ponumerowanych stron, podzielonych na VIII rozdziałów ułożonych chronologicznie, według najważniejszych wydarzeń w życiu autora. Tekst uświetniają rysunki oraz zdjęcia rodziny oraz osób, o których mowa.

Pierwsza część pamiętnika obejmuje okres od 1919 do 1936 roku. Są to czasy dzieciństwa i młodości Pradziadka. Rozpoczyna się od okresu szkolnego. Pradziadek rozpoczął edukację w wieku 7 lat w Szkole Podstawowej w Bondyrzu. Okres szkolny trwał od 1919 do 1926 roku. Na zakończenie szkoły uczniowie zagraли sztukę, w której główną rolę zagrał



Pradziadek, a drugą rolę grała uczennica Natalia Baryłówna. Wtedy aktorom po raz pierwszy szybciej serca zabily do siebie. Potem drogi ich się rozeszły. Spotkali się po pięciu latach i odtąd już spędzali ze sobą coraz więcej czasu. W 1934 roku Pradziadek oświadczył się Natalii. Ustalono, że ślub odbędzie się w karnawale w 1935 roku. Jednak niedoszły szwagier przelożył im termin ślubu na pierwszą niedzielę po Wielkanocy, twierdząc, że nie zdąży z przygotowaniem wesela. Na dwadzieścia cztery dni przed planowanym ślubem Pradziadek otrzymał kartę mobilizacyjną do wojska. Miał się stawić sześć dni po weselu. Narzeczeni wpadli w rozpacz, ostatecznie termin ślubu przeniesiono na czas po powrocie. Janek z Natalią przyrzekli sobie miłość i wierność oraz, że będą czekać na siebie. Na pożegnanie narzeczona wręczyła Pradziadkowi fotografię, na odwrocie, której napisała:

*Janeczku kochany!  
Bądź przekonany,  
że ja w ciemnym grobie  
nie zapomnę o Tobie!*

24 kwietnia 1935 roku Jan Szewczuk, zgodnie z kartą powołania, zasilł szeregi 50 Pułku Piechoty Strzelców Kresowych w Kowlu. Czas w wojsku szybko mijał, a Pradziadek odliczał pozostały do września 1936 roku czas, kiedy to wróci do rezerwy i będzie mógł wreszcie poślubić ukochaną. Udało się mu otrzymać urlop czternastodniowy na Boże Narodzenie i dodatkowy siedmiodniowy na Wielkanoc, który uzyskał w nagrodę za dobre wyniki w strzelaniu. Niemal cały wolny czas narzeczeni poświęcili sobie, zapewniając o swojej miłości.

Jednak około 15 maja 1935 roku Pradziadek otrzymał od brata list z informacją, że Natalia wychodzi za mąż za Jana Wszolę. Wedle słów brata, narzeczona Janka została zastraszona przez swojego brata i zmuszona do zamążpójścia. Ślub odbył się pospiesznie w dniu 13 czerwca 1935 roku. Pradziadek nie mógł przeżyć utraty swojej ukochanej. Bardzo mocno cierpiał. Z wojska wrócił 10 września 1935 roku. W październiku 1936 roku dawni narzeczeni spotkali się. Jednak mimo bólu i wielu lez nie mogli być ze sobą.

Część druga pamiętnika obejmuje okres od 10 września 1936 roku do maja 1939 roku. W tym czasie Pradziadek otrząsnął się po „zdradzie” narzeczonej i zaczął poszukiwania kandydatki na żonę. Początkowo zabiegał o względy Władzi Grelówny, która była, jak określił, „czarnulką”.

Jednak jej mama stwierdziła, że córka jest jeszcze za młoda na zamążpójście.

8 maja 1937 roku, na zabawie w Potoczku Pradziadek poznał Michalinę Pakułę, córkę Macieja z Jacni. Po tańcach odprowadził nowo poznaną dziewczynę do domu. I tak rozpoczęła się kolejna miłość w życiu Jana Szewczuka. Uczucie szybko ogarnęło obojga. Wkrótce, w trakcie spaceru na wzgórzu w Potoczku zakochani przyrzekli sobie miłość i „po cichu” zaręczyli się. Oficjalnie Pradziadek poprosił Michasię, moją Prababcie, o rękę w pierwszą niedzielę po Bożym Narodzeniu. Obie strony zaakceptowały związek. Ustalono, że w karnawale odbędzie się wesele.

W dniu 9 stycznia 1937 roku w drodze do kościoła, gdzie narzeczeni mieli dać na zapowiedzi, miał miejsce wypadek. Sanie wiozące narzeczonych z rodzicami spadły z dwuipółmetrowej skarpy. Na szczęście tylko Michasia potłukła nogę. Mimo wszystko dotarli do kościoła i dopięli założonego celu. W następnej kolejności rodziny ponownie spotkały się w celu ustalenia terminu ślubu. Rodzice narzeczonych zgodnie zaplanowali to wydarzenie na niedzielę 20 lutego 1937 roku.



Uroczystość odbyła się w Kościele N.M.P. w Krasnobrodzie, w obrządku rzymskim. Wesele trwało 2 dni, częściowo w domu panny młodej w Jacni, a częściowo w domu pana młodego w Bondyrzu. W pamiętniku Pradziadek opisując swój ślub, przedstawił także zwyczaje weselne, jakie wtedy panowały.

Po zaślubinach Pradziadek przekazał swojemu synowi Janowi Szewczukowi gospodarstwo. W ten sposób nowożeńcy rozpoczęli życie na własny rachunek. Pradziadek dodatkowo woził koźmi meble z fabryki w Bondyrzu do Zwierzyńca, skąd były one wywożone koleją na eksport. W lutym 1939 roku został powołany na 21 dni do wojska do rezerwy. W tym czasie coraz głośniejsz mówiono, że wojna z Niemcami jest nieunikniona. Narastał coraz większy niepokój.

W części III pamiętnika zawarte zostały wspomnienia z okresu od czerwca 1939 roku do końca 1946 roku. Był to okres radości przeplatany z bólem, łzami i trudami II wojny światowej. W czerwcu 1939 r. okazało się, że Prababcia jest w ciąży, co ucieszyło przyszłych rodziców.





W pamiętniku opisane zostały losy Pradziadka i jego towarzyszy broni w Kampanii Wrześniowej w 1939 roku. 24 Pułk Piechoty początkowo stacjonował w koszarach we Włodzimierzu, a gdy zaczęło się bombardowanie miasta przez wojska niemieckie, Polacy zostali przeniesieni do wsi Marcelówka. Następnie, zgodnie z rozkazem, odmaszerowali do Łucka. Stamtąd wszystkie wojska zostały przekierowane na pola w okolicach Łucka. Był 17 września 1939 r. Tam przyjechał generał, który oświadczył:

*Wojska sowieckie przekroczyły wschodnią granicę Rzeczypospolitej Polski! Nasze wojska prowadzą zacięte walki w okolicach Zamościa. My jesteśmy między młotem a kowadłem!... otrzymaliśmy rozkaz z naszego dowództwa Rzeczypospolitej Polski: ZŁOŻYĆ BRON!*

Podał instrukcję jak mają się zachować żołnierze, po czym dodał:

*Z bólem serca czytam ten rozkaz! Z bólem serca żegniam Was jako żołnierzy! Pójdziemy wszyscy na własną rękę w okowy niewoli.*

Pradziadek na własną rękę starał się powrócić do domu. Po drodze,

Jednak 28 sierpnia nastąpiło poronienie, co przyniosło wiele smutku całej rodzinie. W dodatku 1 września wybuchła wojna. Pradziadek Jan Szewczuk i jego młodszy brat Władysław Szewczuk otrzymali karty mobilizacyjne. W tym dniu obaj wyruszyli, by walczyć za Ojczyznę. Władysław otrzymał przydział do wojsk w Zamościu, zaś Jan udał się do 24 Pułku Piechoty we Włodzimierzu.



wraz z innymi żołnierzami, trafili do niewoli. Na szczęście po 4 dniach wojska sowieckie wypuścili Polaków, z zastrzeżeniem, że mogą iść tylko na zachód. Ostatecznie, w dniu 29 września 1939 r. Pradziadek, ku wielkiej radości jego żony i rodziców, dotarł do domu.

W następnych latach zajął się z troską rodzicami i żoną. Mimo trwającej wojny Prababcia zaszła w ciążę i w dniu 14 sierpnia 1941 roku urodziła mojego dziadka Antoniego Szewczuka. Jej mąż robił wszystko, aby pierworodny rozwijał się dobrze. Trudy wojny opisywał tak: „*Ale z każdym dniem to gorzej. „Kontyngenty”, łapanek i różnego rodzaju akcje... i wywożenie ludzi na roboty do Niemiec. Z tego powodu powstały i organizowały się polskie partyzantki... ale i były ruskie partyzantki... Jak zakwaterowały się na wiosce to po sobie zostawiały „dobre” ślady... tak, że człowiek nie był penny dnia dzisiejszego*”.

24 sierpnia 1944 r. wyzwolony został Zamość. Wojska rosyjskie zarekwirowały Pradziadka wraz z końmi do taboru rosyjskiego. Ścigali wycofujące się wojska niemieckie. Pradziadek wrócił do domu 31 sierpnia 1944 r. po tym jak niemiecka artyleria rozbila wóz i konie. On sam zdążył schować się w okopie, dzięki czemu uszedł z życiem.

Już w wolnej Polsce Jan i Michalina zaczęli myśleć o rodzeństwie dla 3-letniego wówczas Antosia. I tak, w dniu 2 września 1945 roku przyszli na świat Adam i Stanisław, bliźniacy. Urodzili się na wozie w środku lasu pod Krasnobrodem. Pradziadek szczegółowo opisał dramatyczne chwile porodu oraz „Anioła Stróża” w osobie lokalnej akuszerki, pani Kowalowej, która jakimś cudem akurat przechodziła przez las. To dzięki niej cała akcja zakończyła się szczęśliwie.

W październiku 1946 roku Pradziadkowie mieli ponowny wypadek w trakcie jazdy wozem. Konie spłoszyły się, a wszyscy przewrócili się i spadli z góry. W pamiętniku Pradziadek opisał ciężkie chwile z tym związane – pobyt Prababci w szpitalu i problemy z małymi dziećmi w domu.

W części IV pamiętnika opisane zostały wspomnienia z okresu od 1947 roku do 15 lipca 1987 roku, kiedy to zmarła moja Prababcia Michalina Szewczuk. Dzięki reformie rolnej w 1947 roku Pradziadkowie, tak jak wielu i innych sąsiadów z Bondyrza, nabyli ziemię znacionalizowane przez państwo w okolicach Hrubieszowa. Wraz z 33 rodzinami przeprowadzili się do wsi Modryniec w powiecie hrubieszowskim. Tam, na ugorze nieuprawianym przez wojnę, będącym wcześniej w posiadaniu przedwojennego dziedzica Milowicza, stworzyli własne gospodarstwo rolne. Wybudowali dom i postawili budynki gospodarcze. W pamiętniku zostały opisane trudy pracy na roli przy wykorzystaniu koni, pługa

oraz przy pomocy żony Michasi, 9-letniego Antosia i 5-letnich Stasia i Adasia.

Pradziadkowie zaangażowali się również w aktywizację nowo osiadłej ludności. Prababcia stworzyła lokalny zespół, a Pradziadek udzielał się w powstałej Ochotniczej Straży Pożarnej. Doprowadzili do remontu starego budynku, w którym powstała świetlica. Prababcia została radną powiatu hrubieszowskiego oraz członkiem Rady Nadzorczej Banku Spółdzielczego w Mirczu. Z jej inicjatywy powstało lokalne, prężnie działające Koło Gospodyń Wiejskich, którego została przewodniczącą.

Początkowo Pradziadkom żyło się coraz lepiej. Zarobione pieniądze inwestowali w dom i sprzęt rolniczy. Jednak w latach 1955–1957 władze Polski Ludowej, jak napisał Pradziadek, „dokręciły śruby” rolnikom. Musieli oni szybko zbierać i oddawać zboże do państwowych magazynów. Nazywano ich „kułakami”. Za niewywiązanie się z dostaw groziło kolegium, a nawet więzienie. Rodzice musieli angażować swoje dzieci do ciężkiej pracy, aby czym prędzej wymłócić zboże i oddać je państwu. W trakcie prac 12-letni wówczas Adaś został wciągnięty przez maszynę – kierat. I tylko bystrość umysłu starszego brata Antosia i jego natychmiastowa reakcja spowodowały, że przeżył ten wypadek.

Mimo przeciwności losu czas szybko mijał. Po ukończeniu Szkoły Podstawowej Adaś i Staś wyjechali do szkoły w Zamościu. Antoś, jako najstarszy został przy rodzicach. Uczył się krawiectwa i pomagał w gospodarstwie. W 1961 roku został powołany do wojska. Bardzo ciężko było Pradziadkom. Gospodarzyli na 12 ha ziemi, mieli niewiele sprzętu rolniczego i pieniędzy, a władze nazywały ich „kułakami”... a „kułaków” należało likwidować.

W 1962 r. wieś Modryniec podłączono do elektryczności. Jak wynika z treści pamiętnika, dzięki temu „zaczęła się wkradać kultura”. Rodzina wzbogaciła się o radio z adapterem i kilka płyt. Przyjechali wszyscy trzej synowie i rodzinka spędziła wesołe święta Wielkanocne.

W 1963 r. mój dziadek Antoś wrócił z wojska i stał się pomocnikiem swoich rodziców. Rok później młodszy bracia zdali maturę. Stasio poszedł do wojska, a Adam wyjechał na studia do Szczecina. W 1965 r. Antoś wziął ślub z moją babcią – Haliną Adamczuk z Modrynia. Razem zamieszkali z pradziadkami i pomagali w gospodarstwie. Rok później Staś wrócił z wojska, pracował przez 2 lata jako kierownik sieci sklepów MHD w Hrubieszowie, a następnie tak jak jego brat bliźniak, wyjechał na studia do Szczecina.

Pradziadek opisał również represje władz Polski Ludowej w stosunku do wiary rzymskokatolickiej. Wspominał o obrazie Matki Boskiej, który wędrował po parafiach w całej Polsce. Za ten czyn został aresztowany prymas Stefan Wyszyński. Jednak i to nie było wystarczające, by wierni zaprzestali swych działań. Obraz nadal przemierzał swoją drogę od parafii do parafii. W styczniu 1970 r. dotarł również do parafii Mircze, w której mieszkali Szewczukowie. Obraz Matki Boskiej przyjęto z wielką radością i w bardzo odświętny sposób. Następnie, w dniu 6 stycznia konwój składający się ze 100 odświętnie ubranych w stroje ułańskie jeźdźców na koniach odprowadził obraz Matki Boskiej do granic sąsiedniej parafii Czerniczyn.

W 1970 roku wujek Adam Szewczuk ukończył studia i został asystentem na Politechnice Szczecińskiej, a trzy lata później obronił doktorat. Jego brat bliźniak skończył studia i zamieszkał w Stargardzie. Adam ożenił się z Jadwigą Ławrynowicz, mieli dwóch synów Tomasza i Piotra. Stanisław z kolei ożenił się z Krystyną i wkrótce urodziła się im córka Magdalena. W 1986 r. Adam otrzymał habilitację, a rok później był już dziekanem swojego wydziału. Stanisław został z kolei dyrektorem Banku Spółdzielczego w Dolicach.

W międzyczasie u Prababci zaczęły się coraz większe problemy zdrowotne. Pradziadek opisał szczegółowo walkę o zdrowie i życie towarzyski swojego życia, matki trzech synów i babci ośmiorga wnuków. Mimo wszystko, w dniu 15 lipca 1987 roku zmarła otoczona miłością najbliższych, kończąc kolejny rozdział z życia Pradziadka Janka.

Część V pamiętnika obejmuje okres pierwszego roku po stracie żony Michasi, w której opisane są trudne chwile po utracie ukochanej. Pradziadek nie mógł odnaleźć swojego miejsca na ziemi bez żony, z którą spędzał każdy dzień przez niemalże 50 lat. W rozpaczę wspierany był przez rodzinę i przyjaciół. Z czasem odzyskał równowagę, jednak ciągle doskwierała mu samotność. Pisał o niej: „Kochana towarzyska... której na imię samotność”.



W części VI Pradziadek przyznaje, iż od pierwszej rocznicy śmierci Michasi, czyli od 15 lipca 1988 roku, w wyniku osamotnienia zaczął spisywać swoje wspomnienia z całego życia. Jednocześnie nawiązał kontakt ze swoją pierwszą miłością Natalią. Okazało się, że losy wojenne u boku

męża rzucili ją wraz z Armią Andersa przez Tobruk i Monte Cassino aż do Anglii. Dowiedział się, że Natalia jest już wdową. Stąd Pradziadek zdobył adres i śmiało napisał list. W odpowiedzi dowiedział się, że dawna ukochana wkrótce odwiedzi rodzinne strony w Polsce. I w niedługim czasie, po 52 latach nastąpiło emocjonujące spotkanie. Oboje w skrócie opowiedzieli sobie o najważniejszych wydarzeniach ze swojego życia. Okazało się, że Natalia miała troje dzieci, które zmarły z głodu w syberyjskich łagrach. Ona, wraz z innymi matkami również były bliskie śmierci. W ostatniej chwili zostały uratowane przez Czerwony Krzyż, który dostarczył im żywność. W trakcie rozmowy najpierw Natalia wyznała „mea culpa” (znaczy: moja wina), a następnie wzajemnie sobie wybaczyli zachowanie i zdradę ze swojej młodości. Przez cztery dni pobytu w Bondyrzu widywali się codziennie. Po wyjeździe pisali do siebie, a w listach opisywali między innymi samotność i tęsknotę. W 1989 roku Natalia zaprosiła Janka do siebie, do Wickfordu w Anglii. Przy wsparciu rodziny w dniu 15 czerwca 1989 roku, po uzyskaniu paszportu, wizy i biletu Pradziadek pierwszy raz w życiu wsiadł do samolotu i poleciał do Londynu, gdzie czekała jego pierwsza narzeczona.

Dawni narzeczeni spędzili ze sobą dwa miesiące. W tym czasie dużo rozmawiali, spacerowali, podróżowali po Anglii i odwiedzali znajomych. Dla mojego Pradziadka wszystko było niesamowicie inne niż w Rzeczypospolitej Ludowej. A w dodatku działa się to u boku jego młodzieńczej miłości Natalii. Na cześć wspaniale spędzonego czasu Pradziadek napisał wiersz „W Wickfordzie”, a oto jego fragment:



*Boże, czemu nas darzyłeś?  
Na co nam łaska i dobroć Twoja pozwala?  
Dziękuję Ci Boże z Modryńca Janek,  
I dziękuję Ci Boże z Wickfordu Natalia.  
W skromnym domu w Wickfordzie,  
Gdy nas budził ranek  
Za szczęśliwą, przespaną, nocą  
Dziękuję Ci Panie Boże. Natalia i Janek.*

W VII części pamiętnika zostały przywołane wspomnienia z lat 1990–1995. Jako pierwsze opisane zostało wesele wnuka Adasia i Malgosi, które odbyło się 6 stycznia 1990 r.

Dość szczegółowo poruszona została sprawa rodzinnej tragedii, która wydarzyła się 18 grudnia 1991 r. W jej wyniku trzy dni później śmierć poniósł brat mojej mamy – Marek. Wszyscy nie mogli się pogodzić z tym, co się zdarzyło. W Wigilię Bożego Narodzenia odbył się pogrzeb. Emocje i ból wynikający z utraty niespełna 21-letniego Marka zostały przelane na kolejne strony pamiętnika.



Ostatnią – VIII – część pamiętnika Pradziadek poświęcił w znacznej części na opisanie szczegółów czwartej wizyty w Polsce Papieża Jana Pawła II w dniach od 1 do 9 czerwca 1991 roku. Narysował mapkę, oznaczając kolejne miasta wizyty, a w tekście opisał kolejno wydarzenia z poszczególnych miast.

W tej części opisane zostały także osiemdziesiąte urodziny Pradziadka, które odbyły się w dniu 31 stycznia 1992 roku. Od czasu pogrzebu Marka były one pierwszą okazją do radości rodziny i przyjaciół. Przyjęcie zorganizowane przez Babcię Halinkę i moją Mamę Gosię początkowo zaszokowało, ale ostatecznie ucieszyło nie tylko Pradziadka. Oprócz najbliższych przybyły także koleżanki mojej mamy, które wniosły dużo uśmiechu na twarze domowników.

Wkrótce po osiemdziesiątych urodzinach wzrok Pradziadka coraz bardziej pogarszał się. Już niewiele widział, przez co nie mógł pisać. 12 stycznia 1994 roku przeszedł szczęśliwie operację, dzięki której znowu zobaczył świat. Wtedy przepisał wcześniejsze trzy pamiętniki, tworząc w ten sposób jeden wspólny obejmujący okres od 1919 roku. Na końcu dodatkowo opisał trudy życia z okresu, kiedy był praktycznie niewidomy oraz wielką radość, jaka zapanowała w jego sercu po odzyskaniu wzroku. Ostatniego wpisu do pamiętnika dokonał 20 października 1995 roku. Zmarł w wieku 84 lat, w dniu 18 maja 1996 roku.

Pamiętnik Pradziadka Janka Szewczuka jest dla mnie i całej naszej rodziny kopalnią wiedzy o naszych przodkach. Opisane w nim zostały losy czterech pokoleń Szewczuków. W wielu wspomnieniach przywołani zostali także przyjaciele i dalsi członkowie rodziny. W to wszystko zostało wplecionych wiele faktów historycznych oraz panujących wówczas zwyczajów. Jestem wdzięczna Pradziadkowi za to, że spisał swoje wspomnienia. Dzięki niemu historia naszej rodziny jest ciągle żywa.



## Gala rozdania nagród Laureatom konkursu

24 stycznia 2020 roku

Archiwum Państwowe w Szczecinie



24 stycznia 2020 roku, w Sali im. Bolesława Tułana-Taurogińskiego w siedzibie Archiwum Państwowego w Szczecinie, odbyła się uroczystość rozdania nagród laureatom konkursu pn. „Znajdź swoją pamiątkę rodzinną i opisz jej historię”.

Jego organizatorami i gospodarzami gali byli Zachodniopomorski Kurator Oświaty Magdalena Zarębska-Kulesza oraz Dyrektor Archiwum Państwowego w Szczecinie Krzysztof Kowalczyk.

Konkurs był skierowany do uczniów szkół podstawowych z województwa zachodniopomorskiego. Jego celem były: popularyzacja wśród uczniów zachodniopomorskich szkół wiedzy historycznej, poznanie historii rodzinnej, a tym samym zainteresowanie uczniów tematyką poszukiwań genealogicznych, propagowanie wiedzy o gromadzeniu i zabezpieczeniu pamiątek przeszłości z archiwów rodzinnych, doskonalenie własnego warsztatu piśmienniczego.

Podczas uroczystości Goście zaproszeni na galę mieli okazję zapoznać się z założeniami ogólnopolskiego projektu „Archiwa Rodzinne Niepodległej” realizowanego przez Archiwa Państwowe. To poniekąd łączyło się z tematyką konkursową, gdyż uczestnicy przygotowując prace, musieli wstępnie rozpoznać własne archiwa rodzinne, a tym samym postawili symboliczny „pierwszy krok” na ścieżce poszukiwań genealogicznych. Wizyta nagrodzonych wraz z opiekunami była doskonałą sposobnością, by bliżej zapoznać się z działalnością archiwów państwowych i by na chwilę zajrzeć „za kulisy” pracy archiwalnej, w tym do zabytkowego, archiwalnego magazynu.

Fot. **Dariusz Witulski** (Archiwum Państwowe w Szczecinie)











ARCHIWA  
PAŃSTWOWE  
ARCHIWUM PAŃSTWOWE  
W SZCZECINIE



Kuratorium Oświaty  
w Szczecinie